Nr. 3. Lwów, 1. Listopada 1885. Rok I.

STRAŻNICA POLSKA

PISMO

POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNE

wychodzi

dwa razy na miesiąc, każdego 1. i 15.

Pojedyńczych Nrów nie sprzedaje się.

PRENUMERATA

na „Strażnicę polską“ wynosi:

Kwartalnie:

We Lwowie:	bez przesyłki	1 zł.	50 ct.
„	z przesyłką	1 „	60 „
Na prowincyi:	. . . .	1 „	70 „
Za granicą:	. . . .	2 „	— „

REDAKCYA w Rynku L. 8.
ADMINISTRACYA Rynek L. 9.
Inseraty od wiersza (petit) 5 ct.
Wszelkie należytości przysyłać należy pod adresem:
Do Administracyi „Strażnicy polskiej“ na ręce p. **Szczęsnego Bednarskiego,** Lwów, Rynek L. 9.

Polacy w parlamencie austryackim.

Wiedeń 25. października.

Dyskusya nad mową tronową zainaugurowała czynności austr. Rady państwa w nowem sześcioleciu, które wnosząc z pierwszych występów posłów, nie zapowiada błogich skutków dla reprezentowanych w niej ludów. Sceny i burdy, jakie miały miejsce w pałacu Hausenowskim, podkopać musiały w szerokich kołach obywatelskich wiarę w poważne traktowanie spraw, mandataryuszom powierzonych, wywołać musiały przekonanie, iż nawet obecna chwila, zapowiadająca zamęt w świecie politycznym i przewrót w stosunkach ekonomicznych, nie zdoła poskromić namiętności, by skierować umysły wybrańców do pracy produktywnej, nie zdoła pobudzić ich do czynów. Szermierka słowa, na temat „Czy autonomia, czy centralizm“ prowadzona bezowocnie przez kilka dni z zaciekłością, godniejszą lepszej sprawy, wykazała, że nadszedł czas, by weteranów parlamentarnych tak z lewicy jakoteż prawicy, zastąpić nowemi siłami, gdyż się przeżyli i nic dodatniego, ani pod względem politycznym, ani taż ekonomicznym, nie są zdolni dokonać. To co mówiono o systemie rządzenia w Austryi, słyszeliśmy już tylekrotnie przy rozmaitych sposobnościach, że jesteśmy przygotowani usłyszeć po 6 latach znowu tę samą pogawędkę tylko z tą różnicą, że posłowie już nie krzykami, lecz pięściami przekonania zwalczać będą. Zaznaczyć wypada, że mowy posłów z prawicy zdradzały, iż dotyczący mowcy albo nie byli przygotowani, albo też lekceważyli zadanie, jakie im w udziale przypadło. Odpowiedź na mowę tronową, to program stronnictwa, które się odzywa. Tymczasem nie znajdujemy w przemówieniach ani jednej nowej myśli, ani jednego żądania, któreby należycie umotywowane i rozwinięte zostało. Wszakże nasz kraj oprócz regulacyi rzek ma coś więcej do żądania, jeżeli wiekowe zaniedbanie najżywotniejszych interesów nie ma za sobą pociągnąć zgubnych skutków dla obywateli i państwa.

Ze stanowiska politycznego żaden z mowców nie miał odwagi poruszyć kompetencyi naszego Sejmu, który został zdegradowany do roli ankiety, obradującej nad porcyami szpitalowemi i petycyami o zapomogi. Nikt nie poruszył bezowocności prac sejmowych, które z czasem będą tylko kosztowną zabawką, jeżeli projekta ustaw zalegać będą po lat kilka w biurach centralnych, nie mogąc się doczekać, by uzyskały moc obowiązującą. Mowa tronowa z naciskiem wspomina o potrzebie zaprowadzenia pospolitego ruszenia, a posłowie nasi wobec tej kwestyi oniemieli. Szczególnie posłowie polscy winni byli wobec tak doniosłej dla kraju naszego kwestyi, podjąć inicyatywę i rozwinąć szerszy pogląd na organizacyę pospolitego ruszenia z uwzględnieniem naszych odrębnych stosunków. W całym kraju bowiem myśl o zaprowadzeniu pospolitego ruszenia przyjęto sympatycznie, lecz nie dość na tem, gdyż chodzi o zapewnienie krajowi wpływu na wewnętrzną organizacyę tej siły obronnej. Mowa tronowa wspomina także o szkołach przemysłowych, mających na celu podniesienie inteligencyi rzemieślników i przemysłowców. Polscy posłowie winni byli zaznaczyć, że do podniesienia przemysłu w kraju naszym same szkoły nie wystarczą, lecz trzeba czegoś więcej. Potrzeba bowiem uświęcenia przez państwo zasady, iż to, czego Galicya w artykułach handlowych i przemysłowych potrzebuje, sama Galicya pokrywać winna. W tym celu spełniłoby państwo tylko akt sprawiedliwości, gdyby tej zasadzie hołdowało, zapewniając rzemieślnikom i przemysłowcom wszelkiego rodzaju dostawy, przez państwo dla potrzeb kraju zamawiane. O strasznym upadku rzemiosł i przemysłu w kraju naszym należało mówcom koła polskiego w pełnej izbie wspomnąć, by lewica wiedziała, że Polacy i Rusini w Galicyi jęczą pod naciskiem przesilenia ekonomicznego i zabójczych skutków wiekowego zaniedbania. Należało koniecznie ten fakt z ilustracyami zaznaczyć na dowód, że Polacy i Rusini za czasów obecnych rządów żadnej a żadnej koncesyjki kosztem innych krajów nie otrzymali, — prędzej utracili, a chyba zazdrościć nam chce lewica tej nędzy, w jakiej kraj pogrążony.

O potrzebach naszych uniwersytetów, szkoły politechnicznej, szkół średnich, nikt nie pamiętał w Kole polskiem, by dotyczące żądania w tej mierze należycie uzasadnić.

Miejsce nam nie pozwala wyliczyć i uzasadnić mnóstwo innych piekących kwestyj, natury polityczno-ekonomicznej, których podniesienia i wywalczenia kraj ma prawo się domagać od swoich posłów; a sposobność do tego była w odpowiedzi na mowę tronową.

Niektórzy optymiści powiadają, że odpowiedź na mowę tronową winna zawierać tylko ogólne kierunki i zasadnicze zapatrywania Izby. Na takie zapatrywanie odpowiadamy, iż odpowiedź na mowę tronową winna być odpowiedzią reprezentowanych ludów, a nie zaś koteryj politycznych. Raz na sześć lat nadarza się ludom sposobność przemówić przez usta swoich reprezentantów do tronu, dlatego adres winien być wyrazem wszelkich moralnych i materyalnych potrzeb obywateli.

Jednem słowem pierwszy występ naszych posłów nie można zaliczyć do bardzo szczęśliwych, gdyż ich przemówienia i wnioski winny być drogoskazem dla innych klubów prawicy, których interesa są do naszych zbliżone; tymczasem oprócz frazesów i często odgrzewanych komunałów o systemie rządzenia, mowcy koła polskiego nic nowego i budującego nie wypowiedzieli. Od posłów polskich żądamy, aby oni wskazywali parlamentowi drogę, która prowadzi państwo do zdobyczy ogólno cywilizacyjnych, tudzież by potrzeb swego kraju należycie uzasadnionych nie wstydzili się ciągle przypominać.

Co do wewnętrznych spraw koła polskiego, nazwaćby trzeba uchwałę, zmierzającą do rozumnego podziału pracy pomiędzy posłami przez uwzględnienie specyalnego wykształcenia posła przy wyborze do komisyj, zwrotem ku lepszemu, gdyby taka uchwała miała w praktyce parlamentarnej zastósowanie do wszystkich członków Koła. Doświadczenie jednak poucza, że ta uchwała niema zastósowania do posła Dra Karola Lewakowskiego. Wiadomo bowiem, iż nie ubliżając żadnemu z szanownych członków Koła, żaden z posłów polskich nie jest tak gruntownie i wszechstronnie obeznany ze sprawami kolejowemi, jak p. Dr. Lewakowski. Zdawałoby się, iż wobec uchwały Koła co do uwzględnienia fachowych wiadomości posła, powinien być p. Dr. Lewakowski obrany członkiem komisyi kolejowej. Komisya matka inaczej jednak pojmuje kwalifikacyę na członka komisyi kolejowej i zaproponowała członków, którzy w innej komisyi oddaliby znakomite usługi, lecz na sprawach kolejowych znają się chyba dlatego, że do Wiednia jeżdżą koleją. W ogólności panuje w Kole zapatrywanie: tylko Dr. Lewakowskiego nie dopuszczać do żadnej komisyi, bo to człowiek niebezpieczny. Kiedy p. Dr. Lewakowski oświadczył w Kole, że chcąc pracować, podejmuje się pisywać regularnie sprawozdania z obrad Koła do polskich dzienników, odezwał się J. E. Dr. K. Grocholski, że już nie można, bo uchwała zapadła. Podobne postępowanie z członkiem, który się zgłasza do pracy, w żadnem przyzwoitem towarzystwie nie byłoby cierpianem. W Kole polskiem taki despotyzm uchodzi!!

Błędem taktycznym nazwać trzeba, że Koło zamiast zjednywać sobie sprzymierzeńców w niektórych klubach lewicy, jak n. p. w klubie demokratów, którego przewodnia myśl polityczna

Zapiski kronikarskie.

Jeszcze o Mierzwińskim i „zmierzwieniu“ Lwowa. — Niedoszła banderya i korowód z pochodniami. — Tropak improwizatorów. — Miszures ad honores i jego odwaga. — Dalsze łechtanie nerwów. — „Orpheum“ lwowskie — Akt fundacyi ks. Lubomirskiego i „Mane, Thekel, Phares“ we śnie. Najnowsze przedsiębiorstwo ks. Prałata Stojałowskiego.

Zaczynając sprawozdanie dwutygodniowe, zmuszeni jesteśmy choć kilka słów jeszcze poświęcić królowi tenorów, który stał się powodem tak wielkiego „zmierzwienia“ we Lwowie. Przedewszystkiem zaznaczyć winniśmy, że tak samo jak w przyjęciu programowem na kolei zaszły pewne mankamenta, tak samo miało się i z pożegnaniem, które na wskróś „zmierzwieni“ przygotowywali. Byli podobno tacy, którzy to pożegnanie chcieli urządzić w wielkim stylu, i chcieli zorganizować banderyę, bez której dzisiaj żadna znakomitość nie wytknie nawet nosa po kraju.

Gdy jednak Lwów nie grzeszy cywilnemi siłami hipiki, to też jaka taka szkapa pod wierzch należy do rzadkich zjawisk. Hipikę tę zastępuje zielone sukno bilardu i stolika z obrazkami. Ostatnia taka banderya przyjmowała Mierzwińskiego z dobrym skutkiem. Myślano wprawdzie o kawaleryi piaskarzy Łyczakowskich, lecz ta w żaden sposób nie mogła być użytą, mianowicie z tego względu, że Mierzwiński w dzień odjeżdżał. Z tego samego powodu nie przyszedł do skutku korowód z pochodniami, który mieli prowadzić reprezentanci dwóch plemion narodowych, t. j. p Platon Kostecki i p. Władysław Bełza, którzy tak znakomicie i z wielkim ogniem odtańczyli „tropaka“ przed królem „tenorów“ w Kole literackiem po skończonej uczcie. „Tropak“ ten miał być powtórzony przed hotelem Żorża na placu Maryackim również na cześć Mierzwińskiego.

W rzeczy samej, należy czołem uderzyć przed p. Platonem Kosteckim i p. Władysławem Bełzą. Dotychczas znał ich Lwów jako publicystów i improwizatorów, lecz o tak wysokich zdolnościach choreograficznych, nikt nawet nie marzył. Wierzymy też, że ten „tropak“ wywarł silne wrażenie na p. Mierzwińskim i tak miał być rozanimowany, że im aż zaświstał do taktu.

Gdy jednak i lokomotywa już zaświstała, unosząc króla tenorów do Odessy, słońce jego nagle się zaćmiło na horyzoncie lwowskim. Mianowicie ten sam p. Zygmunt Frühling-Fryling, wice-szef-redaktor *Kurjera lwowskiego*, który tak dzielnie miszuresował Mierzwińskiemu na raucie w Kasynie, a podobno i w hotelu — o czem sam w *Kurjerze lwowskim* głosił, o zaszczycie, gdy mu Mierzwiński powierzył 50 fl. a. w. do przechowania, ten sam p. Frühling po wyjeździe króla tenorów i swego najpoufalszego przyjaciela, taką wyciął filipikę minionemu entuzjazmowi, że entuzjaści aż języka w gębie zapomnieli. Widocznie pożegnanie Mierzwińskiego ze znakomitym reporterem „wszechdzienników polskich“ nie musiało tego ostatniego bardzo zadowolnić, w jakim kierunku, tego już nie wiemy. W każdym razie miał Lwów nową próbkę odwagi najnowszego kroju, takiego syna Izraela jak p. Frühling-Fryling.

Zaledwie król tenorów opuścił Lwów, i chociaż jeszcze nie tak prędko nasi entuzyaści powykupują fanty z Banków zastawniczych, nasz niezrównany impressario narodowy p. Jan Dobrzański czyni co może, aby podtrzymać łechtanie nerwów w Lwigrodzie. To też zaledwie Mierzwiński przejechał rogatkę Gródecką, tuż za nim pojawiły się żółte afisze, zwiastujące przyjazd T e r e s i n y T u y, a dlatego kilka tygodni naprzód, aby entuzjazm lwowski mógł przeprowadzić konwersyę długów i zdobyć nowy zasób monety. Niechaj jednak pano-

wcale nie koliduje z politycznem stanowiskiem koła, a w sprawach ekonomicznych program tego klubu licuje w wielu bardzo punktach z programem krajowym, przez niepolityczne postępowanie Koła zwiększa się liczba przeciwników Polaków na lewicy. Pomijanie takich Dr. Kronawetterów, Dr. Luegerów przy wyborze do komisyj parlamentarnych przez Koło, uważamy za postępowanie stronnicze i niepolityczne. Wszakże członkowie klubu demokratycznego zwalczają i to bardzo skutecznie programy lewicy pochodzące z epoki szwindlerskiej, potępiają korupcyę i dlatego na wszelką sympatyę Polaków zasługują. W końcu nie należy zapominać, że członkowie klubu demokratycznego rekrutują się przeważnie z miasta Wiednia, zatem reprezentują oni silny zastęp obywateli Niemców, którzy się na sprawy polityczne państwa inaczej zapatrują, aniżeli borbifaksy Knotze i t. p. Mniejszy jest interes polityczny, łączyć się z klubem Coroniniego, który przypomina klub Ateńczyków w Sejmie galicyjskim. Ani na lewo, ani na prawo, tylko tam, gdzie większa siła! Klub ten sam nie wie czego chce, a zdaje się tylko myśleć o tekach ministeryalnych.

Mowa hr. Coroniniego należy do rzędu tych, które nikomu nie zaszkodzą i nie pomogą. Najsmutniejszą rolę w tym klubie odgrywają dwaj posłowie z Galicyi, którzy mieli odwagę głosować za adresem niemieckich awanturników. W innym kraju byliby tacy posłowie zmuszeni do złożenia mandatów za taki zdradziecki czyn. W Galicyi jednak wszystko uchodzi, bo nie wyborcy, lecz pieniądze decydują o wyborze posła. Kiedy odbywały się wybory do Rady Państwa, wszystkie dzienniki lwowskie pisały hymny pochwalne na cześć jednego z tych posłów. Ciągle słyszeliśmy, ten kandydat będzie forytował sprawę regulacyi rzek i t. p. blagi. Żaden z dzienników jednak nie zapisał, że ten p. poseł głosował z lewicą.

Zamknęły się podwoje austr. parlamentu aż do przyszłego roku, by ustąpić miejsca Sejmom krajowym. Dlatego i my kończymy nasze uwagi, by się w następnych numerach szczegółowo zająć sprawami sejmowemi. A więc do widzenia!

„Narodny Dom“ we Lwowie.

Bezsprzecznie dominujące stanowisko w teraźniejszem społeczeństwie ruskiem zajmuje kwestya własności instytucyi „Narodnego Domu“ we Lwowie. Instytucya ta powstała 1849 roku na ruinach zbombardowanej w jesieni 1848 r. akademii, darowanych przez rząd Rusinom miasta Lwowa, i wedle intencyi tegoż rządu miała być ogniskiem owej sławnej „ruthenische Reichstreue“ w opozycyi do rewolucyjnych wybryków polskich. Akt darowizny ruin akademii był więc takim samym politycznym krokiem rządu, jak patent z dn. 18. kwietnia 1848, znoszący bezpłatnie pańszczyznę. Jak w owym patencie rząd absolutny nie myślał szczerze o podźwignięciu ludu wiejskiego, tak też w aktach darowizny z d. 25. sierpnia i z dnia 11. października 1849, rząd Bachowski nie myślał szczerze o podźwignieniu narodowem i naukowem Rusinów galicyjskich. Nie dziw więc, że oba te akty łaski monarszej w dalszym ciągu rozwoju dziejowego nie tylko nie przyniosły pożądanych przez dawców owoców, ale przeciwnie, przysporzyły tylko nieszczęść tym, dla których miały być dobrodziejstwem. Historya zniesienia pańszczyzny w Galicyi, aż nadto dobrze znana. Obdarowani kwietniowym patentem włościanie, nietylko, że nie dostali za darmo obiecanej wolności, ale przeciwnie, ponoszą i ponosić będą więcej jak pół wieku ogromny ciężar indemnizacyjny na równi z innymi obywatelami kraju. Mniej znaną jest historya obdarowania specyalnie Rusinów, i o niej to chcielibyśmy nieco bliżej pomówić, tem więcej, ile że wydana latem b. r. w języku ruskim broszura: „Rusko-narodna instytucya „Narodnyj Dom wo Lwowi“, jej początek, założenie i obecny stan, postawiła sprawę tę na porządku dziennym dyskusyi publicznej, wywoławszy ogromną wrzawę w jednym, konsternacyę w drugim i niepewne wahanie się w trzecim obozie ruskim.

Oto jest treść dokumentów, opublikowanych w tej broszurze i dotyczących genezy „Narodnego Domu“. Dzisiejsza instytucya obejmuje realności pod Nr. konskr. 78, 74, 76 i 77 we Lwowie położone w części zwanej miastem, a także należą do niej dobra ziemskie Biłka i Kosteniów w obwodzie przemyślańskim, obejmujące razem 1.103 morgów 710 sążni kw. gruntu, wartości 122.980 złr., dalej należy do tejże instytucyi dom przy ulicy Stryjskiej L. 333¹/₄ odstąpiony na zakład wychowawczy dla dziewcząt, i dwie realności w Buczaczu, także przeznaczone na podobny zakład wychowawczy.

Główną i fundamentalną częścią instytucyi jest realność pod l. kons. 78 miasto, i ta właśnie realność pochodzi z daru monarszego z r. 1849. Zaraz po zbombardowaniu Lwowa przez Hammersteina, udało się ówczesne ruskie towarzystwo polityczne, t. zw. „Ruska Rada główna“ do rządu, z prośbą o darowanie Rusinom miasta Lwowa części ruin dla zbudowania cerkwi parochialnej i domu dla księdza. Lecz nim jeszcze na tę pierwszą prośbę nadeszła odpowiedź od rządu, dojrzała w łonie Ruskiej Rady myśl, propagowana głównie przez ks. Treszczakowskiego, ówczesnego parocha w Rudnie i utalentowanego pisarza ludowego, żeby Rusini założyli we Lwowie obok drugiej cerkwi także instytucyę narodową na wzór instytucyi imienia Ossolińskich, dla podźwignięcia umysłowego życia, literatury, sztuki i nauki ruskiej. Wystosowano w tym celu ponowną prośbę do rządu i jeszcze tego samego roku otrzymano nie tylko pomyślną odpowiedź na obie prośby, lecz nawet wydelegowana przez Namiestnictwo komisya, oddała protokołem z dnia 8. listopada 1849 owe ruiny w posiadanie i bezpośredni zarząd ruskiej ludności miasta Lwowa, reprezentowanej przez prezesa Rady ruskiej ks. Kuziemskiego, seniora instytutu Stauropigialnego J. Towarnickiego, radcę magistratu J. Zarzyckiego i jeszcze czterech Rusinów lwowskich.

Dla osiągnięcia celów wyrażonych w samych aktach darowizny, rząd ze swej strony nic nie zrobił, chociaż z samej natury rzeczy wynikało, że jeżeli w Rusinach widział „Tyrolczyków wschodu“ i pragnął w nich mieć oporę przeciw wszelkim domniemanym knowaniom polskiej partyi rewolucyjnej, to powinien był użyć wszelkich sił i sposobów, do jaknajspieszniejszego wzmocnienia i ugruntowania tej obronnej pozycyi. Lecz podobna przezorność, która mogłaby była wielce późniejszym klęskom zapobiedz, nie leżała w systemie absolutnych rządów Bachowskich, którym chodziło nie o zaspokojenie słusznych pragnień i rozbudzonych wielką burzą 1848 roku aspiracyj pojedyńczych narodowości monarchii, lecz o uciszenie i przytłumienie wszelkich objawów samodzielnego życia prowincyonalnego. A Rusinów, owo nowonarodzone dziecko polityczne, jakże łatwo było uciszyć! — Jest powieść gminna u ludu ruskiego, która opowiada, że gdy pierwsi ludzie zaczęli gospodarować na ziemi, mężczyźni poszli w pole oraz i siać, a kobiety siedząc w domu nudziły się okropnie, nie mając wcale co robić. Zaczęły więc prosić Pana Boga, żeby im dał jakąś rozrywkę, przynajmniej jakąś „skrobaczkę“, żeby się skrobać mogły. Pan Bóg litościwy dał im — pchłę. Otóż zdaje mi się, że taką kobietą była Ruska rada, a taką skrobaczką, daną ruskiemu narodowi na czas wielkiego „zawieszenia wszelkich czynności“ były owe ruiny zbombardowanego uniwersytetu. Przez całych dziesięć z górą lat, kiedy inne narody w przymusowej cichości pracowały nad ekonomicznem i umysłowem skrzepieniem swych sił, kiedy kładły fundamenty przyszłych swoich politycznych zdobyczy, Rusini zbierali składki i przebudowywali ruiny na kamienicę. Kamienica ta, pod którą 1852 r. ręka samego Cesarza położyła kamień węgielny, przez owych dziesięć lat była niejako hasłem bojowem galicyjsko-ruskiego narodu, celem wszystkich pragnień i marzeń, zabiegów i trudów jego najentuzyastyczniejszych i najuczciwszych przodowników; inni mniej entuzyastyczni a więcej praktyczni, robili karyerę, zdobywali honory i tytuły dla siebie.

A po latach dziesięciu cóż wyszło? Oto kamienica była zbudowaną, lecz duch, którym miała być ożywiona nowa instytucya, duch którym chciał rząd 1849 r. natchnąć Rusinów przez dokonanie darowizny, a 1852 Cesarz przez położenie węgielnego kamienia nowego budynku, — ów duch uleciał za ten czas. W owym to czasie, między 1849 a 1860 r. zrodziło się i wyrosło w Galicyi to dążenie, które dziś przyjęto ogólnie nazywać mianem moskalofilstwa. Jakie były przyczyny jego powstania i wzrostu? Powiedzielibyśmy ogólnikowo, że z jednej strony owo powszechne, głuche niezadowolenie, jakie musiało ogarniać wszystkich żywych ludzi w czasie reakcyi, wzmocnione jeszcze w Galicyi wielką ruiną interesów ekonomicznych po tak ważnym społecznym przewrocie, jak zniesienie pańszczyzny, z drugiej zaś strony daleki, niewyraźny, lecz tem więcej czarujący blask potęgi rosyjskiej, która widocznie pokazała się oczom Rusinów galicyjskich pierwszy raz w r. 1849 podczas pamiętnego przemarszu wojsk rosyjskich do Węgier, a nadto jeszcze wzmocniona była owym dziwnym urokiem, jakie wywierała na umysly ludzkie w owym czasie potężna bądź co bądź osobistość cara Mikołaja.

Do tego dodać jeszcze należy prowadzoną od dawna przez Pogodina za pośrednictwem głównie historyka Dyonizego Zubrzyckiego, a później też prof. uniwersytetu J. Hołowackiego propagandę w kierunku t. zw. „objedynenija“ narodowościowego i językowego Rusinów galicyjskich z Wielkorusami, do której to propagandy w latach 1849-1860 dołączyła się jeszcze czynna, wybitnie już polityczna i seperatystyczna propaganda państwowo-rosyjska, prowadzona przez emisaryuszów w rodzaju późniejszego gubernatora Gromeki. Podczas gdy naród ruski przy pomocy całego aparatu urzędowego i konsystoryalnego składa pieniądze na wzniesienie „Narodnego Domu“, prowodyrowie ruscy, przedstawiciele inteligencyi ruskiej, całymi dniami przesiadywali na wierzchołku lwowskiego Wysokiego Zamku z twarzami zwróconemi na północ, jak żydzi Mesyasza wyczekując przybycia pułków białego cara. Tam zastał ich Gromeka

---

wie lwowianie nie będą zbyt zarozumiali, że i teraz p. Jan Dobrzański ma ich tylko na względzie i poczuwa się do obowiązku bawienia. Tym razem troskliwość jego dotyczy głównie ojców narodu, którzy się zjadą na sejm krajowy, aby wobec „poświęcenia“ podczas wyboru komisyi i uchwalenia budżetu, znaleźli jaką taką rozrywkę dla spracowanych nerwów; a więc Teresina Tua będzie im przygrywała na skrzypicy. Gdy jej zaś braknie kalafonii do smarowania smyczka, wystąpi pani Lucca, znana śpiewaczka Europie z Anno Domini ...., zaliczająca się obecnie do cennych zabytków archeologicznych w końcu XIX. wieku. W taki sposób zamyśla p. Jan Dobrzański uprzyjemnić „poświęcenie“ nad Pełtwią sejmowi, mianowicie tym ojcom kraju, którzy przyjeżdżają z delegacyi wiedeńskiej. Jeden z patrycyuszów lwowskich bene possessionatus, na tę samą intencyę ruszył kieszenią i jak się dowiadujemy, w dzień zagajenia Izby sejmowej odbędzie się polewanie ogniska lwowskiego „Orpheum“ przy placu Maryackim. Jakaż to miła niespodzianka będzie dla niejednego z naszych panów delegatów, która chociaż w miniaturze, będzie im przypominać błogo spędzone chwile nad sinym Dunajem.

Teresina Tua — Lucca — Orpheum — „to mi życie, to mi raj, tylko Szmilu groszy daj,“ i wy prześwietne Banki zastawnicze nie zamykajcie swoich Wertheimówek. A wy znowu panowie patryoci dajcie nam raz spokój z jakimiś tam wygnanymi Polakami z pod Prusaka, bo Lwów i Galicya wszystko zniosą, ale „żebraniny“ mają już dosyć.

Do niezwykłych sensacyj w różnych warstwach naszego społeczeństwa galicyjskiego, należy akt fundacyi księcia Lubomirskiego 2,000.000 franków, oddanych na ręce p. Namiestnika Zaleskiego i pod jego dyspozycyę, dla wzniesienia i utrzymania schroniska dla młodych chłopców opuszczonych lub złego prowadzenia. Kapitał ten powierzył szlachetny testator pod opiekę rządu. Otóż ten fakt, jako prawie jedyny dotąd w swoim rodzaju, że wykluczeni zostali zwykli cywilni śmiertelnicy, jakoby nie zasługiwali na zaufanie, narobić miał jak to mówią wiele złej krwi różnym umitrowanym i upałkowanym starym naszym rodom. — Przyznajemy się, że i nas fakt ten zadziwił. Dziś jednakowoż używszy naszego telefonu na linii Lwów-Kraków-Paryż, dowiadujemy się, że to tylko wyjątkowy stan moralności galicyjskiej spowodował to, co książę Lubomirski uczynił. Jak nam z wiarygodnych źródeł donoszą, rzecz się ma jak następuje:

Książę Lubomirski postanowił znaczną część swego mienia obrócić na akt filantropijny dla kraju i narodu, do którego się zalicza. Aby zaś zbadać, coby było najwłaściwszem, zjechał nawet do Krakowa, w celu naradzenia się w swoich sferach. Sfery te nagadawszy mu dużo pięknych rzeczy i komplementów, były jednakowoż innego zdania filantropijnego; a mianowicie wychodziły z tego zapatrywania, że można przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie. I tak wiadomo, że niejeden stary ród poświęcając się dla kraju (w celu sprowadzenia bogactw do tegoż) na giełdzie wiedeńskiej i innych niemniej szlachetnych arenach ekonomicznych, został porządnie co się zowie skrachowany. Wobec takich faktów dopełniłby książę Lubomirski istotnie szlachetnego czynu a godnego jego przodków, jeżeliby ten kapitał 2,000.000 franków powierzył w ręce kilku członków znakomitych rodów, a ci przez czas pewien podjęliby się fruktyfikacyi finansowej, którąby im dozwoliła nietylko podnieść własny splendor, ale i zakład filantropijny znacznie by na tem zyskał.

Rada ta wywarła na ks. Lubomirskim wprawdzie wielkie wrażenie, ale właśnie z powodu tego wrażenia postanowił się namyśleć, a że to była późna godzina, udał się na spoczynek, gdy starych

już 1854 roku, t. j. w dwa lata po położeniu kamienia węgielnego pod budowę gmachu „Narodnego Domu“.

Dla kierowania tą budową, zbierania składek i prowadzenia rachunków, wybraną została z grona Rady Ruskiej t. zw. „Komisija uprawlajuszcza diłamy Narodnoho Doma“, która, będąc zatwierdzoną od rządu d. 30. listopada 1851 r., od tego czasu prowadziła urzędowanie swoje aż do końca r. 1872., t. j. przez całych lat 20. Za ten czas zbudowano główną kamienicę, nabyto poboczne, nabyto po części drogą zapisu, po części też drogą spłaty dobra ziemskie Biłka i Kosteniów i — uczyniono wszystko, co tylko można było uczynić dla ufundowania w „Domu Narodnym“ tego ducha, który wszechwładnie zasiadł był w głowach prowodyrów od r. 1854. A więc wprowadzono język łamany moskiewski nie tylko w urzędowaniu w „narodnej“ ruskiej instytucyi, ale za pomocą ś. p. Palucha wprowadzono go nawet między młodzież utrzymywaną w bursie; wyrzucono z zabudowania ruskie towarzystwo kasynowe „Ruską Besidę“, skoro to towarzystwo przybrało wyraźną cechę narodową ruską; rzucono kość niezgody między młodzież akademicką a gimnazyalną, kupując za stypendya i datki jednorazowe, rozdzielane z dochodów różnych narodowych fundacyj, adeptów „Objedynienija“ i zmoskwicenia, wytwarzając sztucznie rozdział w łonie zawiązującej się „Akademicznej Besidy“, gdzie miała zgrupować się cała młodzież akademicka dla wspólnej pracy ku dobru Rusi, — nieliczna jednak garstka (w liczbie 13) moskalofilów, przynęconych obietnicami owej komisyi, pod przewodnictwem Wł. Stebelskiego i Audykowskiego*) wystąpiła z „Besidy“ i zawiązała znany „Akademiczeskij Krużok“, uzyskawszy natychmiast wygodne z trzech pokoi złożone pomieszkanie w budynku „Nar. Domu.“; pomieszkanie to pierwotnie przeznaczonem i przyrzeczonem było dla „Besidy“, która po nieudałych próbach pojednania musiała upaść w samym zarodzie.

Lecz najważniejszym krokiem ku utrwaleniu tego zgubnego i antynarodowego kierunku na Rusi galicyjskiej był statut „Towarzystwa Narodnego Domu“. Kiedy bowiem nastała era konstytucyjna, namiestnictwo zaraz w 1867 r. zawezwało komisyę „Nar. Domu.“, ażeby wykonała przepisy aktów darowizny, tj. poczyniła zarządzenia potrzebne do zorganizowania instytucyi „Narodnego Domu“ w duchu nowej ustawy o towarzystwach. Zamiast postąpić sobie tak, jak w podobnym wypadku trzeba było postąpić, tj. zamiast zawezwać uprawnionych do zarządzania instytucyą mieszkańców Rusinów miasta Lwowa, komisya sama, cichaczem ułożyła statut towarzystwa. Układał go, o ile wiemy, sowietnik p. Kowalskij; chociaż członek i nawet przewodniczący komisyi po wyemigrowaniu Kuziemskiego, jednakowoż do tej komisyi ani w 1851 roku nie wybrany, ani później przez żadną kompetentną władzę niezatwierdzony. Parę razy namiestnictwo odrzucało projekta owego statutu, wreszcie d. 21. stycznia 1869 r. zatwierdziło z tym dodatkiem, żeby przez paragrafy tego statutu nie mogły być uszczuplone ani tem mniej zanegowane prawa ludności ruskiej miasta Lwowa do „Narodnego Domu“. Że wobec wyraźnego i niedwuznacznego brzmienia statutów taka klauzula była sprzecznością, to zrozumie każdy, kto przeczyta podane niżej wyłuszczenie treści tychże statutów. Lecz dla prowodyrów zasiadających w komisyi nawet taka klauzula była wielką przeszkodą. Nie chcieli więc publikować statutu z tą kluzulą, ktora byłaby każdemu na pierwszy rzut oka pokazała całą nieoględność ich postępowania; postarali się więc w namiestnictwie o ponowne, bezwarunkowe „przyjęcie do wiadomości“ ich statutów, co też dnia 6. lutego 1869 roku uzyskali. Mimo to jednak trudno przypuścić, ażeby przez to ponowne przyjęcie do wiadomości klauzula owa była anihilowaną, gdyż tem samem musiały by być anihilowane i wszystkie owe dokumenta fundacyjne, na których się klauzula opiera, a tego ani namiestnictwo ani żadna inna władza uczynić nie może i nie mogła.

Statut „Obszczestwa Narodnyj Dom“ z r. 1869 wytworzył nowy, wielce oryginalny stan prawny naszej narodowej instytucyi, trwający i po dziś dzień, a będący przedmiotem głównego ataku broszury pomienionej na początku tego artykułu. Przedewszystkiem w statucie tym wbrew wyraźnemu brzmieniu aktów fundacyjnych, nigdzie niema mowy ani o f u n d a c y i, ani o jej bezpośrednich właścicielach (o ile ktokolwiek może być właścicielem, a raczej zarządcą fundacyi), R u s i n a c h m i a s t a L w o w a. Przeciwnie, statut zna tylko towarzystwo prywatne, którego „Narodny Dom“ jest zupełną i nieograniczoną własnością, które może majątek tegoż „Narodnego Domu“ obdłużyć, zamieniać lub użyć na takie cele, jakie same uzna za odpowiednie dla swych celów, więc n. p. rozdzielić między siebie lub komu innemu przekazać. Członkami tego towarzystwa mogą być wszyscy Rusini bez względu na pochodzenie; pierwszymi członkami i założycielami mianowali siebie sami członkowie byłej komisyi, sami też oni de facto mianowali dalej członków, wybierając, rozumie się tylko takich, na których kierunek polityczny mogli się spuścić. Protektorem instytutu mianowany zostawał każdoczesny metropolita, zaś delegatom kapituł ruskich przyznano bardzo ważne kompetencye w sprawach zarządu instytutu. Przyjmywać członków na przyszłość może jedynie rada zawiadowcza; nieprzyjętemu przez nią nie przysługuje prawo apelacyi do ogólnego zgromadzenia itd. Jednem słowem, statut z r. 1869 nie tylko uszczuplił i anihilował prawa Rusinów miasta Lwowa do darowanej im przez cesarza w r. 1849 fundacyi, lecz zamazał i anihilował nawet zupełnie publiczny charakter tejże fundacyi, czyniąc z niej majątek prywatnego towarzystwa, służący prywatnym, antynarodowym i zgubnym celom tegoż towarzystwa.

Oto jest mniej więcej treść najważniejszej części pomienionej głośnej broszury. W następnym artykule postaramy się sformułować główne zarzuty prawne i polityczne, podniesione w tejże broszurze przeciw obecnemu zarządowi „Narodnego Domu“ i rzucimy okiem na bieg i treść zaciętej polemiki, jaka wywiązała się była nad ową broszurą w pismach ruskich.

*) S t e b e l s k i W ł o d z i m i e r z współpracownik *Dziennika polskiego*, *Szczutka*, *Gazety narodowej* i *Przeglądu*. — A u d y k o w s k i współpracownik *Słowa*, *Prołomu*, a obecnie jeden z głównych współredaktorów *Miru*. (Red,)

Zakład ś. p. hr. St. Skarbka

dla

sierót i starców w Drohowyżu.

napisał

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Piszący niniejszy artykuł, mając zamiar obznajomić cały kraj z doniosłością tej rzeczywiście europejskiego znaczenia fundacyi, rozpoczął pracę, aby przedstawić wiernie jej przeszłość i teraźniejszość, a oraz zwrócić uwagę na konieczne zmiany, jakie dla dobra fundacyi i głównej myśli śp. fundatora przedsięwzięte być powinny. Gdy jednakowoż praca taka wymaga sumiennych i szczegółowych badań, a nie brak dla zebrania tychże trudności, postanowił piszący ogłosić na ten miejscu ustęp, który dotyczy głównie Z a k ł a d u w D r o h o w y ż u.

Powodem do tego pospiechu jest stanowcze zatwierdzenie hr. Henryka Skarbka na kuratora fundacyi. O ile piszącemu wiadomo, p. kurator wraz z dyrektorem fundacyi p. Tadeuszem Lange, obeznawszy się, o ile czas stosunkowo krótki na to pozwolił, z obecnymi realnymi i moralnymi warunkami fundacyi, przyszli do tego przekonania, że kuratorya chcąc odpowiedzieć zadaniu na się przyjętemu, nie wolno jej się bawić w jakiekolwiek czułostki i wrzekome uczynki miłosierdzia, lecz z wszelką wyrozumowaną i zbadaną stanowczością, zmuszoną jest przerwać wszelką dalszą korrupcyę, jaka głęboko korzenie na całym obszarze fundacyi zapuściła. Aby więc nasza praca, która i później będzie miała pewne znaczenie dla kuratoryi i innych kół, które fundacya obchodzić powinna, nie wyszła dla kuratoryi za późno, i gdy zakład w Drohowyżu stanowi główny i jedyny cel fundacyi, podajemy nasze spostrzeżenia i uwagi, oparte na dziesięcioletniem badaniu.

Ktokolwiek poznał bliżej Zakład w Drohowyżu, którego celem miała być opieka nad sierotami i starcami, jeżeli miał jakiekolwiek pojęcie o warunkach bytu takiego zakładu, a badał okiem bezstronnem, w jaki sposób dotychczasowa dyrekcya i zarząd zakładu spełniały swe obowiązki, ten niezawodnie musiał wynieść nader przykre wrażenie, oraz przyjść do tego przekonania, że ten zakład i fundacya u nas w Galicyi są wprost przeciwnie pojmowane od myśli przewodniej fundatora, dla której nie skąpił ofiarności.

Będziemy jednak oględni w tem, coby się powiedzieć mogło i powinno. Ale twierdzimy stanowczo, że niesłychanie rozluzowane pojęcie o moralności społecznej, fundacye tego rodzaju i zakłady uważa jedynie za decorum; a nadanie przez nepotyzm praw różnego rodzaju śmiertelnikom nieomal na zupełną prywatną własność, w celu używania i trwonienia grosza publicznego.

Są to objawy nader smutne, ale niestety prawdziwe.

Przystąpmy teraz do poglądu na sam zakład w Drohowyżu. Pomijając już smutne dzieje budowy tegoż zakładu, aż do chwili wprowadzenia go w życie, kraj wierzył i miał otuchę, że wychowanie sierót na przyszłych dobrych obywateli kraju, odbywać się będzie prawidłowo, i odpowiednio do znaczenia tak wielkiej fundacyi. Oczekiwania te rozwiały się jak mgła, gdyż w praktyce pokazało się, że dyrekcya zakładu i zarząd nie odpowiedziały od początku nieomal zadaniu, zapoznając warunki, w jakich zbierane sieroty po całym kraju należy w pierwszym rzędzie umoralniać, i że takie umoralnienie tylko wtenczas może być osiągnięte, jeżeli zebrane sieroty chociaż w części zapomną, że są bez ojców i matek, a że ci, którzy je przytulili do siebie, nie skąpią im ojcowstwa i macierzyństwa.

Otóż możemy śmiało powiedzieć, że warunku tego nie było dotąd w zakładzie drohowyzkim, szczególniej na oddziale chłopców. Opieka zaś nad dziewczętami pełna miłości, datuje się dopiero od chwili, gdy objęły ją Siostry Felicyanki. Zakład w Drohowyżu, przedstawiał raczej, pomimo różnych szmermelów optycznych, zakład karny, a nawet nie wytrzymujący krytyki porównawczej z koloniami poprawczemi,

---

rodów członkowie długo jeszcze radzili pomiędzy sobą, projektując już naprzód sposoby fruktyfikacyjne. Książę Lubomirski, gdy mu Morfeusz zamknął oczy, miał sen, ale tak wyraźny, jakby to co mu się śniło, działo się na jawie. Oto pokazali mu się nieboszczycy, i to nie zwykli, ale po duchu mu pokrewni. Przed łożem jego stanął ś. p. Hr. Stanisław Skarbek, a wskazawszy ręką księciu, ujrzał tenże, jakby najwyraźniejsze panorama, całe obszary fundacyi Skarbkowskiej, cum lassis, boris, coppcis et graniciebus, wśród których świecił naturalnie na pierwszym planie zakład dla sierót i starców w Drohowyżu. Na głównych schodach kamiennych przed zakładem wycinał p. Köwesz z Juliuszem Starklem hołubce, a orkiestra drohowyzka wraz z niedoborem fundacyjnym sierót i starców grała i przyśpiewywała na ich cześć i stęchłej kaszy. Jako mistrz tej wesołości choreograficznej unosił się w piruecie nad gromadką sierotek dziewcząt, b y ł y n a u c z y c i e l g i m n a s t y k i — Westfalewicz.

Książę aczkolwiek widmo to przedstawiło mu się we śnie, podniósł mechanicznie prawą rękę i przeżegnał się trzy razy, chociaż w widzeniu nie były widome ani rogi, ani kopyta djabelskie.

Zaledwie obraz ten zniknął, stanęły znowu dwa duchy — ś. p. Ludwika i Anny Helclów, wskazując na fundacyę Radłowa i na plac w Krakowie, gdzie na wysokim drągu przybity był plan gotowy gmachu przytułku dla nieuleczalnych i paralityków, wykonany przez architektę p. Prylińskiego. Przytułek ten przyszłości otaczały wieńcem cienie kandydatów i kandydatek, mających być w nim umieszczonych, lecz nie mogąc się doczekać, powędrowały na tamtem świat.

Gdy się i to widziadło rozwiało w mgłę, książę Lubomirski się przebudził, otarł kroplisty pot z czoła, a że to się już miało ku rankowi, zadzwonił na służącego i kazał kufry podróżne pakować. W kilka godzin potem, gdy rada starych rodów marzyła jeszcze również we śnie o operacyah fruktyfikacyjnych 2.000.000 franków, świsnęła lokomotywa na dworcu krakowskim, a pociąg pospieszny uwiózł księcia Lubomirskiego wraz z milionami — przez Wiedeń do Paryża.

Jakie zgorszenie zapanowało pomiędzy radą starych rodów, można to sobie z łatwością uprzytomnić, a co się później stało, o tem już wiecie szan. czytelnicy.

Dzienniki krajowe zaznaczają, że ruch przemysłowo-fabryczny zaczyna się w Galicyi ożywiać, bo oprócz fabryki wytworów chemicznych p. Wanga na Zniesieniu, odbyła się solenna inauguracya na Gródeckiem fabryki „tałesów“, a p. hr. Baworowski w Strussowie przyszedł do przekonania, że podolskiemu szlachcicowi korzystniej przerabiać pszenicę na makaron lub gwiazdki, aniżeli sprzedawać takową żydom na pniu. Szkoda, że nasza rolnicza szlachta nie przyszła prędzej na tego rodzaju pomysły; to też daj Boże, aby Galicya swój galicyjski makaron zajadała, a nie włoski.

Do najciekawszego jednakowoż przedsiębiorstwa, do którego się poprzednie ani umywają, należy pomysł ks. prałata Stojałowskiego z Kulikowa, który dla ubłagania niebios wobec klęsk, jakie kraj nawiedzają, organizuje — „pielgrzymkę do ziemi świętej“ naturalnie, werbując do niej włościan, aby ulżyć ich kieszeniom od zbytku mamony. Że przy jenialnych pomysłach finansowania w s z y s t k i e g o co się tylko sfinansować i sfruktyfikować da, przedsiębiorstwo to może wydać korzystne wyniki dla ks. prałata, o tem nie wątpimy.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

jakie są n. p. wprowadzone w życie obecnie w Królestwie polskiem.

Jeżeli była jakakolwiek uczciwość w którym kierowniku lub nauczycielu zakładu, to ta należy tylko do wyjątków, a więc nie może się nią osłaniać cała dyrekcya i zarząd, gdyż te były pierwszem źródłem złego przykładu i demoralizacyi, które bez żenady wszelkiej grasowały w dzień i w nocy. Któż nie pamięta i śmie chociaż dzisiaj jeszcze zaprzeczyć, że w zakładzie drohowyzkim pijatyka, szulerka, hulanki wszelkiego rodzaju i orgie ..... były powszednim chlebem? Jakiż przykład moralności dawali n. p. nauczyciele i funkcyonaryusze zakładu, jeżeli po całonocnej hulance, pijatyce, tanach i krzykach, a bywało i sprośnych piosnkach, gdy wychowańcy zakładu, sieroty, rano wstawszy, szli do kaplicy na modlitwę, lub też do sal zbiorowych, widzieli tych swych przewodników i nauczycieli, walających się po kurytarzach i zanieczyszczających takowe z powodu pijaństwa?

Jakiż to przykład moralności przedstawiało życie codzienne pp. nauczycieli, zostających pod czujnem okiem p. dyrektora Juliusza Starkla, jeżeli nauczycielka wszedłszy w domowe nieporozumienie ze swym małżonkiem, opuszcza jego pomieszkanie i wprowadza się do mieszkania jednego z wyższych funkcyonaryuszów zakładu — kawalera?

Nauczyciel i nauczycielka pozostają nadal w zakładzie i dopiero na bardzo energiczne wezwanie *Strażnicy polskiej*, usunięci zostali.

Gdy zły przykład szedł z góry, a podrzędniejsze organa funkcyonaryuszów wyłapały jak się to zwykło mówić na różnych gorących uczynkach swoich zwierzchników, cóż było łatwiejszego, jak, że i ci funkcyonaryusze aż do ostatniego dozorcy i parobka postanowili próbować szczęścia na własną rękę. Być może, że wtenczas dyrekcya i główni kierownicy przerażeni zostali widząc co się dzieje i usiłowali nawet naprawić złe. Ale chęci takie objawiły się po niewczasie, bo organa podrzędne wzięły na kieł i nie wahały się grozić skandalami. Cóż więc mieli czynić dygnitarze zakładu? — musieli milczeć, i przymrużać oczu na codzienne nadużycia.

Panowie ochmistrzowie i ich pomocnicy, zwykle parobasy bez jakiejkolwiek ogłady i poczytalności o warunkach swych obowiązków, zaczęli traktować sieroty w ten sposób, jak nawet jest zabronionem postępować w domach karnych, dobrze zorganizowanych. Używanie do sierót najohydniejszych wyrazów, kułakowanie, bicie, katowanie nawet, to był chleb powszedni. Czego taki wychowaniec nie nauczył się jeszcze podczas swego sieroctwa, tego nabył w zakładzie od dozorcy.

Nauka szła również odpowiednim trybem, jeżeli pp. nauczyciele lekceważyli powagę dyrekcyi, która nawet pijaków nie śmiała oddalać, lecz przeciwnie brała ich w danych razach w obronę, za pomocą znanych pewnych dzienników.

Oddział dziewcząt, umieszczonych wprawdzie w osobnem skrzydle gmachu, z siedzibą „madame“ dyrektorki i nauczycielek, nie był odosobniony i zamknięty, a pp. nauczyciele, funkcyonaryusze, dozorcy nawet, mieli przystęp na ten oddział nieograniczony.

Jakie się zrodziły ztąd następstwa, dowiódł tego najlepiej memoryał, wręczony w swoim czasie wszystkim posłom na Sejmie krajowym przez redakcyę *Strażnicy polskiej*. Redakcya wskazywała zbrodnie i ohydne występki, a kuratorya i dyrekcya nie śmiały temu zaprzeczyć i autora tego memoryału nie oddano c. k. Prokuratoryi Państwa do śledztwa karnego za oszczerstwo.

O ile nam wiadomo, istniał i istnieje regulamin w zakładzie, w jaki sposób ma być spełniony nadzór nad wychowańcami. Regulamin ten jednakowoż istnieje tylko na papierze, a ani dyrekcyi, ani też nikomu nie zależało dotąd na tem, aby był ściśle wykonywany.

Podamy chociaż jeden przykład:

Oto podczas naszej bytności w Drohowyżu, zwiedzając salę sypialną wychowańców, zapytał się piszący p. ochmistrza, który go na chwilę nie odstępował i baczył pilnie, jeżeli zwiedzający przemówił kilka słów do którego z wychowańców, — jaka kontrola odbywa się nad wychowańcami w nocy?

P. ochmistrz raczył objaśnić, że odbywają się „patrole“ po salach.

— A jak często?

— No to zależy — ale odbywają się co noc.

— Czy sale sypialne są w nocy oświecane?

— Oświecane.

— Czy przestrzegane jakie środki, aby wychowańcy spali spokojnie?

— Jakto? jakie środki? — My tu żadnych nie znamy.

— Ja mam na myśli takie, jakie są od dawna zaprowadzone we wszystkich tego rodzaju zakładach tak męskich, jak i żeńskich. N. p. jest warunek b e z w z g l ę d n y, na który należy nieustannie baczyć, aby śpiący wychowaniec miał zawsze ręce na kołdrze.

— „A, rozumiem pana — myśmy to próbowali i nakazywali, ale się w żaden sposób przeprowadzić nie da.

— „Dziwi mię to, gdyż mi wiadomo, że we wszystkich tego rodzaju zakładach jestto pierwszy warunek, który należy przestrzegać, bo jest warunkiem zdrowia dla dorastającego młodzieńca.

Gdy zaczęliśmy badać dalej pana ochmistrza, raczył nareszcie przyznać, że mamy słuszność i stwierdził, że na o b y d w ó c h o d d z i a ł a c h znane są z tego powodu n i e m o ż e b n o ś c i d o z o r o w a n i a — następstwa.

Odwołujemy się do wszystkich lekarzy, aby raczyli orzec, jak wielka odpowiedzialność spada ztąd na dyrekcyę zakładu, której było obowiązkiem pilnować, aby dozór nie był czczą formułką.

Czy młodzież zdemoralizowana i demoralizująca inne sieroty, a notorycznie poszlakowana, była odłączoną, aby nie demoralizować innych wychowańców i wychowanice?

Nie — i temu warunkowi dyrekcya zadosyć nie uczyniła, nawet po okropnej katastrofie przed kilku laty, a która to pobłażliwość mści się po dziś dzień strasznie. Czy to zaś z naszej strony jest oszczerstwo, niech raczy powiedzieć teraźniejszy kurator fundacyi, gdyż o ile nam wiadomo i on się o tej smutnej prawdzie przekonał.

Spojrzyjmy teraz, w jaki sposób spełnia się w zakładzie żywienie i utrzymanie sierót?

Oto przez tak długi peryod czasu nie umiano się w zakładzie drohowyzkim zdobyć na to, co się dziś już praktykuje po szpitalach a nawet domach karnych, aby dział utrzymania wychowańców prowadzony był we własnym zarządzie.

Sposób, w jaki się zakład zaopatrywał pod względem spożywczym, jest zanadto głośny i znany, aby mógł być zaprzeczony. Jeneralnym dostawcą wszelkich artykułów spożywczych był i j e s t d o t ą d Chaim Schor, żyjący w bardzo przyjacielskich stosunkach tak z dyrekcyą zakładu, jakoteż innymi funkcyonaryuszami, a mianowicie p. magazynierem. Najlichszego rodzaju towar, a nawet taki jak mąka, kasza, groch, mięso i t. d., wszystko razem składało się na wyżywienie sierót i starców. Bieda zaś temu wychowańcowi, który się śmiał uskarżyć i zaniesć swoją porcyę do pokazania komu należało. Gdy ta procedura żywienia przechodziła wszelkie możebne granice, odważniejsi wychowańcy poświęcając się dla kolegów, udawali się wprost do kuratoryi we Lwowie, lecz i tu nie uwzględniano ich skarg, uważając za buntowników. Nie koniec jednak na tem, że dawano najgorszej jakości artykuły do spożycia, lecz dawano w tak homeopatycznych porcyach, iż wychowańcy cierpieli formalny głód, a głód ten doprowadzał ich do rabunku niedojrzałych owoców, lub innych ogrodowizn.

Taki rodzaj spartańskiego wychowania musiał rozwijać umysł do występków, które aczkolwiek z początku drobne, przyuczają do daleko smutniejszych następstw.

Znaczne cyfry figurują w rocznych rachunkach na sprawienie ubrań, obuwia, bielizny, gdy w rzeczywistości cierpią wychowańcy brak tychże; a cierpią wtenczas, gdy krawiectwo i szewstwo wykazuje się w kwitnącym stanie w zakładzie, bo zajęte nieustannie wyrobem wykwintnych ubiorów i obuwia nietylko dla funkcyonaryuszów i ich rodzin w Drohowyżu, ale dla ich licznej klienteli, przyjaciół, krewniaków etc. etc.

Zakład drohowyzki, którego dyrekcya nieustannie się uskarżała na brak środków materyalnych, był jednak tak zamożny, że wyroby szewskie i krawieckie wykończał z własnego materyału i wydawał na kredyt. Pozycye te przedstawiają tysiące; a ile z nich zostało ściągniętych do kasy zakładu, a ile przepadło lub przepadnie bezpowrotnie, to się znowu może przekonamy ze sprawozdania, które — mamy nadzieję — będzie przedłożone Sejmowi.

Podczas wystąpienia wychowańców w r. b. w dzień egzaminu, a wystąpienie to nosiło charakter p a r a d y, zadziwić musiała niezawodnie każdego gościa, oglądającego uważniej wychowańców, metoda praktycznego obuwia, zastosowanego do swobodnych ruchów ciała.

Otóż było widocznem, że na tę p a r a d ę powyciągano ze wszystkich kątów niełatane i łatane obuwie, aby jak najmniejsza liczba świeciła na bosaka. Jakażto dziwnie harmonijna całość przedstawiała się tego ubrania w mundurach i z karabinkami na plecach, gdy spojrzawszy na nogi, ujrzałeś malców od 12—14 lat, obutych w jakieś sanie czy łyżwy, zrobione widocznie „na wyrost“ i zapas, by podczas parady służyć mogły tak dla 12—14 letniego malca, jakoteż dla 18-letniego wyrostka. Na ten szczególny rodzaj systemu obuwia nie raczył jednakowoż żaden z reporterów dziennikarskich, ani też członków Rady zawiadowczej zwrócić uwagi.

Zdaniem naszem dzień taki powinien być świętem dla wszystkich wychowańców zakładu, i wszyscy na ten jeneralny przegląd ubrani jednakowo. Tej sztuki nie mogła widocznie dyrekcya dokazać, gdyż około 20 wychowańców kręciło się boso, w brudnych, zaszlichtanych warstatowych płóciennych ubraniach, bez mundurów. Dwóch czy trzech miało wprawdzie poobwijane nogi; reszta wyskakiwała ochoczo na bosaka, którą pp. dozorcy nieustannie usuwali z pierwszego planu widowni.

Latem, jak latem, jeszcze to pół biedy i wcale by nas to nie gorszyło, aby młodzież była hartowana i przyzwyczajała się chodzić boso, z wyjątkiem pracy w warstatach, gdyż tam noga bosa nieustannie jest narażoną na kalectwo. Ale zwracamy uwagę na porę zimową, gdy to w zakładzie drohowyzkim o n u c k i gniją na nogach wychowańców, noszone bez

---

Pamiętnik więźnia stanu

ś. p.

Ks. Wincentego Bukowskiego,

PLEBANA.

3)

(Ciąg dalszy).

Guwernerka.

Dobrze Rzymianie mówili: „quem Dii oderunt, pedagogum facerunt,“ — t. j. po naszemu znaczy tyle, że kogo bogowie chcą ukarać, temu każą uczyć cudze dzieci po dworach. Takim skazańcem byłem i ja w dworze szlacheckim w Ł. niedaleko Gołogór, małej wiosce poczciwego szlachcica Aleksandra T. Dziedzic sam, przystojny mężczyzna, brunet, wzrostu wysokiego, był uprzejmy, łagodny, pracowity, bez długów, gospodarny, trzeźwy, bez obłudy człowiek, ojciec kilkorga dzieci, a jak mówię, siedział na małej wiosce.

Uczucie patryotyczne, dopiero ocucone przez świeże powstanie i przez naukę brata, który brał udział w powstaniu i służył w wojsku polskiem, dosłużywszy się tam rangi majora, odżywiło się w dziedzicu i biło w sercu silnie; przytem należał on do postępowych, zakazując surowo ekonomowi i atamanowi, aby poddanych nie katowali i nie krzywdzili. Zasobny we wszystko, nie żył nad stan, nie pozwalał sobie zbytków, a jeżeli kiedy przyjmował gości, to uczciwie i bez przesady. Siedział ciągle w domu i tylko na karnawał wyjeżdżał z małżonką do Lwowa na trzy dni. Był też powszechnie lubiany i szanowany.

Na ścianach we dworze wisiały trzy portrety antenatów, między tymi ks. kanonik Poznański, Józef T., którym się szlachcic bardzo szczycił. W literaturze był natomiast zacofany. Ksiąg nie posiadał żadnych i prócz *Gazety lwowskiej* i wychodzącego wówczas *Przyjaciela ludu*, nic nie czytał. Czasami dla zabicia nudów, gdy około gospodarki nie mógł chodzić, w porze słotnej, podawała mu jejmość jaki romans francuski i to pożyczony od sąsiadki.

Małżonka zaś, szlachcianka z gór sanockich, pani przyjemnej urody, blondynka, dobrej tuszy, ale miałkiego rozumu, kapryśnica i złośnica w najwyższym stopniu. „Kocia“, jak ją małżonek czuły nazywał, co miało znaczyć „Konstancya“, była dobrą gosposią i wzorem dla innych szlachcianek, jak to trzeba doglądać domowego gospodarstwa. Ona bowiem zaraz z rana obchodziła stajnię, lamus, piwnicę, śpiżarnię i własną ręką pod miarą i wagą wydawała służebnikom co było potrzeba. Wszędzie też był ład, czystość i zasobność. Słowem, była wzorową gospodynią, miłą sąsiadką, bo koleżanki i sąsiadki zasięgały u niej rady, dowiadywały się nowin. A jednak, przy tych wszystkich zaletach była to zagadka psychologiczna, i tak: Nie chcąc i nie życząc sobie dziatek, zażywała różne lekarstwa, ale działo się wprost przeciwnie. Co rok wychodziła ze dworu wesoła nowina, a potem uroczystość familijna. Już za mojej bytności urodziło się szóste dziecię, a była to rzeczywiście śliczna dzieciną. Czarnobrewy chłopczyk z niebieskiemi oczyma, wykapany ojciec. Matka tego dziecka na oczy znieść nie mogła i — wyrzuciła po prostu do kuchni, gdzie się jak sierota wychowywało. Walało się biedne dziecię w brudzie i gnoju w kuchni, po dziedzińcu, jakby chłopska sierota. Poczciwa Paraska, stara kucharka hołubiła je jak swoje.

Pewnego razu biedny chłopczyna zalazł do gnojówki. Tonąc, pasował się ze śmiercią. Nadeszła na to zacna mama, prowadząc za rękę drugiego braciszka, starszego; ten chciał brata ratować. Matka jednak z niepojętą nieczułością zabroniła, mówiąc: — „Daj mu pokój, nie ruszaj go!“ — i szarpiąc chłopca poszła dalej. Szczęściem nadbiegła Paraska i wyratowała tonące dziecię, unosząc je do kuchni. Serce się wzdryga na tak okropny czyn matki i takie zakamieniałe serce, nienawiść do istoty, której dała życie. Mężulko był jednakowoż tak słaby i podległy magnifice, że i na tę zbrodnię musiał milczeć i przymrużać oczy, bo gdy się na takie postępowanie oburzał, Kocia zaczęła szlochać,

zmiany po kilka tygodni. Na takie bagatelki nie raczyła zwracać uwagi dyrekcya, a tem mniej lekarz zakładu, który o ile nam się zdaje, powinien się poczuwać do tego obowiązku i ma prawo wglądać i baczyć, co jest wychowańcom szkodliwe do zachowania warunków higeny. Ale jakże się ma p. doktor takiemi sprawami zajmować, gdy za niego często w pierwszym rzędzie konsultuje słabych chłopaków dozorca, ex-kapral czy freiter, a jak lepiej świadomi twierdzą, ordynuje nawet leki.

Zdarzały się n. p. takie wypadki, że chłopiec chory, znajdujący się w stanie gorączki, nie mógł iść wraz z innymi na przechadzkę. Nic to nie pomogło, bo groźny rozkaz dozorcy Moroka, któremu raczej pilnować dzikich zwierząt w menażeryi, a nie sierót, istot ludzkich w zakładzie, zmusił go do pójścia i dopiero gdy chłopak padł na drodze, odniesiono go do zakładu.

Wiele ciekawych rzeczy opowiadają również osoby wiarygodne o sposobie leczenia i pielęgnowania chorych wychowańców. Osoby zupełnie bezinteresowne w sprawach zakładu, i to osoby inteligentne, twierdzą, że z rozmaitych ważnych powodów, byłby już wielki czas, aby dotychczasowy lekarz zakładu zastąpiony był inną osobistością.

Na tym obrazku kończymy pierwszy dział poglądu na wychowanie sierót w zakładzie drohowyzkim, dodając chociaż kilka słów o t. zw. starcach i staruszkach. Nie przeszkadza to bynajmniej, że tak samo, jak dla umieszczenia oznaczonej liczby sierót przez śp. fundatora, nie może być jeszcze długo mowy i o schronisku dla wskazanej przez śp. fundatora ilości starców, a pomimo, że ich jest niewielu, umieszczenie tychże równać się zaledwie może z najgorszymi małomiasteczkowymi szpitalami. Wilgoć i ciasnota, brak wszelkich warunków zdrowotnych i nieustająca walka o znośny pokarm, oto obraz ich doli, ktora się dopiero teraz polepsza, gdy zajął swe stanowisko nowy kurator.

Przejdźmy teraz do oświaty i wykształcenia fachowego w rzemiosłach wychowańców i wychowanek.

Jak tam była traktowana nauka w czterech klasach ludowych, powinno wystarczyć to, cośmy napisali w Nrze 1., dając sprawozdanie z egzaminu, który się odbył dnia 1. Sierpnia rb.

Egzamin ten przedstawiał co najmniej jednem słowem w jaskrawych barwach brak kierunku pedagogicznego dyrekcyi, i brak dozoru nad siłami nauczycielskiemi. Była to popisowa blaga i nic więcej, wystarczająca na chwilowe optyczne złudzenie i obałamucenie osób, które się nie zwykły zastanawiać bliżej, lub też mają tylko słabe pojęcie o warunkach pedagogicznych.

Pojmujemy, że p. Juliusz Starkel jako wrzekomo fachowy pedagog, zobowiązany do zarządu całym zakładem, a więc gospodarką domową, warstatami etc., nie mógł posiadać wszystkich wiadomości, ale wypadało, aby chociaż w dziale pedagogicznym działał na pożytek wychowańców. Pokazało się jednakowoż z wyniku egzaminu, że p. dyrektor pojmował swój obowiązek co najmniej lekkomyślnie, albo też i do tego pedagogicznego stanowiska nie dorósł.

Według woli śp. fundatora zakład w Drohowyżu obejmować ma dział 2gi wychowania praktycznego sierót, czyli naukę rozmaitych rzemiosł, jakich, fundator wyraźnie nie oznaczył i słusznie, powierzając wybór odpowiedni potrzebom kraju, kuratorowi i Radzie nadzorczej. Że zaś śp. fundator kierował się myślą głębszą w pojęciu przemysłu krajowego, a tem samem nie krępował przyszłych kuratorów i Rad nadzorczych, dowodzi najlepiej część szósta statutu, 4. rozdział „Wychowanie sierót“ przedewszystkiem §. 25, który brzmi dosłownie:

„Dla chłopców zakładu osiedleni będą obok zakładu majstrowie rozmaitych potrzebnych i pożytecznych rzemiosł i rękodzielnictw, którzy przydzielonych sobie od dyrekcyi instytutu sierot uczyć będą swoich rękodzieł i rzemiosł.“

Następnie §. 26. tak opiewa:

„Do tej nauki przeznaczone będą z uwzględnieniem wieku sierot jakoteż potrzebnego do innej nauki czasu, godziny przed i popołudniowe, w których stósownie do rzemiosła, albo chłopcy posyłani do majstra uczyć się będą przy jego warstacie, albo też majster przychodząc do instytutu, uczyć ich będzie swego rzemiosła w przeznaczonym do tego oddziale.“

Otóż widzimy tu jasno jak na dłoni, że śp. fundator był niepospolitym myślicielem nawet w pojęciu warunków rozwoju naszego rękodzielnictwa i przemysłu, a tem samem i jego przyszłości. Wystrzegał się też i zastanawiał nad każdem słowem ostatniej swej woli, aby rąk następcom swym, wykonawcom tej woli nie wiązać.

Przebija tu i ta myśl, że ś. p. hr. Stanisław Skarbek, jeżeli obrał miejscowość odosobnioną na zbudowanie zakładu, który to wybór miejscowości, obecnie są tacy co mu zarzucają, że był błędny, ten znakomity dobroczyńca i opiekun sierót uważał tylko sam zakład za centralne ognisko nauki, a naokół niego przedstawiał sobie już w myśli obszerną kolonię pracy rękodzielniczej i przemysłowej. Myśl ta była treściwa i głęboka, sięgająca w dal i jedynie umożebniająca rozwój tego rękodzielnictwa i przemysłu, na którem krajowi zbywa.

Że myśl ta niezawodnie z braku głębszego zastanowienia się spadkobierców woli ś. p. fundatora została z początku samego spaczoną i wprowadzoną na najbłędniejsze oraz nader niebezpieczne manowce, bo grożące całości fundacyi ruiną, a nawet bankructwem, nie będzie to dla nas trudnem do udowodnienia.

Że się to nie stało z powodu złej i rozmyślnej woli, szczególniej Wydziału krajowego i Rady nadzorczej, o tem jesteśmy przekonani i w to wierzymy. Powodem do błędnej drogi, na jaką ruch i nauka zakładowa weszły, był prawie powszechny brak znajomości warunków rękodzielniczo-przemysłowych, w jakich się takowe powinny były rozwijać w Galicyi, aby rzeczywiście z takiego ogniska jak zakład drohowyzki, oddziałał zbawiennie w szerszych promieniach.

Ogólny zastój, jaki zapanował w rękodzielnictwie i przemyśle, a najazd obczyzny, gdy pierwsza lokomotywa zaświtała na linii kolejowej Galicyi, nietylko „straszecznie“ zaimponował społeczeństwu galicyjskiemu, ale tak osłabił jego ducha, iż mało było takich, którzy śmieli chociażby zamarzyć o jakiemkolwiek podniesieniu się, a jeszcze mniej o współzawodnictwie naszego rękodzielnictwa i przemysłu z obcymi żywiołami.

Dlatego te zapewne, chcąc wprowadzić naukę warstatową w Drohowyżu w życie, nie miano odwagi dalej spojrzeć, jak na szewstwo, krawiectwo i kilka innych jeszcze podobnych rękodzieł, nie zastanowiwszy się nawet, o ile te rzemiosła są rozwinięte w kraju, jakie posiadają siły własne, jakie warunki nauki, czy potrzebują osobnych szkół, albo czy pewne działy, jak n. p. stelmachstwo i powoźnictwo, prowadzone w obrębie murów zakładu, wydać mogą dobre i korzystne owoce. (C. d. n.)

Walka o praktyczne uprawnienie nowej ustawy przemysłowej.

Prawie bezwzględna wolność zarobkowania przez wykonywanie rozmaitego przemysłu i rękodzieł, które to swobody miały się przyczynić do dobrobytu kraju i monarchii na mocy ustawy z r. 1859, która nazywaną była: „Wolnicą“, t. j. że ktokolwiek wniósł do magistratu lub odnośnej władzy o kartę przemysłową i takową opłacił, nie posiadając nawet najmniejszego uzdolnienia, lub też praktyki, mógł na podstawie tej karty swobodnie pracować. „Wolnica“ ta okazała się po dłuższej praktyce wprost przeciwną, bo rękodzielnictwo nasze i przemysł stawały z każdym dniem na coraz groźniejszym gruncie, gdy kapitał zaczął się posiłkować partactwem i tworzyć całe kolonie proletaryatu rękodzielniczego, zamieniając takowych na białych murzynów, ku zdobyciu jak największych zysków z włożonego kapitału. Nic też dziwnego, że wobec takich warunków, prawidłowy przemysł i rękodzielnictwo, które są jedną z głównych podstaw dobrobytu każdego kraju i narodu, nie mogąc wytrzymać tej nienaturalnej konkurencyi produkcyi, musiały się zachwiać aż do swych podstaw.

Wobec handlarzy kapitalistów i ich sił roboczych, opartych na partactwie i wyzyskiwaniu, zaczęły upadać warstaty i pracownie, zmniejszać się do minimum, lub niknąc z horyzontu, gdy nie były w możności zarobienia na najpierwsze potrzeby bytu codziennego, a tem mniej do spełnienia obowiązków obywatelskich przez płacenie podatków i uiszczanie innych tego rodzaju ciężarów, które są przywiązane do prawidłowego rękodzielnictwa i przemysłu. Nieustające egzekucye i sprzedaż ruchomości warstatowych oraz całego mienia rękodzielnika lub przemysłowca stały się chlebem powszednim, gdy natomiast wolno praktykujący handlarze bogacili się krzywdą swych bliźnich. A cóż się działo i dzieje z rękodzielnikami i przemysłowcami, którzy pozamykali swe warstaty i pracownie? Jedni udali się na włóczęgę, aby szukać nowego sposobu wyżywienia siebie i rodzin, lub też zmuszeni byli poddać się pod jarzmo wyzyskiwaczy handlarzy, a tem samem powiększyć szeregi proletaryatu, wegetującego bez jutra — bez przyszłości. Jeżeli zechcemy uwzględnić, że Galicya posiada nadzwyczaj mało fabryk, w którychby ten i ów rękodzielnik mógł zarobić chociaż na skromny kawałek chleba codziennego, to dola tych nieszczęśliwych stawała się z każdym dniem coraz groźniejszą.

Ilużto przemysłowców i rękodzielników usiłowało produkcye swe spieniężać we własnych sklepach i składach. Wielu z nich byli to ludzie nawet dosyć zamożni, właściciele realności odziedziczonych po ojcach i gruntownie wykształceni zawodowo. Nie żyli nad stan i nie marnowali grosza, żyli jak Bóg przykazał, ale nie umieli tylko jednej rzeczy; oto nie umieli wyzyskiwać robotnika, który u nich w warstacie lub dla nich pracował. Płacili mu według wartości roboty, a to był straszny błąd podług nowych pojęć przemysłowych, a więc o uczciwej konkurencyi mowy być nie mogło.

Położenie stawało się z każdym dniem coraz okropniejsze; nędza, głód, zimno, choroby, brak dachu, cóż takowe rodzą? — oto czarne myśli, zacierające wszelkie pojęcie o moralności społecznej,

---

wpadała w spazmy i wybierała się do odjazdu. Cały dom był wtenczas w zamięszaniu i długo musiał błagać magnifikę, aż się uspokoiła. Tym razem przecież zdobył się na tę cywilną odwagę, że chłopczyka trzechletniego odwiózł do swego teścia, u którego się wychował i dziś w górach sanockich jest obywatelem.

Miałem tedy ten zaszczyt uczenia dwóch chłopczyków — synów szlacheckich, starszego Hilarcia i młodszego Kostusia. Pierwszy ulubione dziecko, jak to nazywają „mamin synek“; drugi niecierpiany od niej. Pierwszy piękny chłopiec, blondynek z rumieńcem i żywym temperamentem, nie bez talentu. Drugi skryty, myślący brunecik, flegmatyk, ale także z talentem. Tamten sangwinik, ten choleryk i flegmatyk. Lubiłem obu i oni do mnie lgnęli, ale wszystkie wybryki przywiązania i poufalenia umiała mamunia poskramiać temi wyrazy: „Wy szlachcice! wy panicze, a on co? — ot jakiś szurgot“.

Ponieważ ojciec oddając mi ich do nauki, nakazał mię słuchać, poważać i surowo karcił, jeżeli który z nich mi uchybił, to się chłopczyki lękali i uczyli; zwłaszcza, że ojciec woził ich do Złoczowa do egzaminu, chcąc ich oddać po ukończonych szkołach niemieckich do instytutu szlacheckiego w Wiedniu, t. zw. „Teresianum“.

Chcąc chłopców zaniedbanych w nauce przyprowadzić do normalnego stanu i do tego stopnia, aby nauka szła szykiem porządnym, musiałem godziny przeznaczone na lekcye przedłużać, ale to się mamuńci nie podobało, i gdy Hilarcio uskarżał się na ból głowy, wpadła w gniew i wcale nie po salonowemu zaczęła mię łżyć i czynić zarzuty, że jej chcę dzieci pomordować nauką, że oni z tego chleba jeść nie będą, że nie jestem dobrym nauczycielem i że — „nie rozumiem uczyć“. A tak umiała zbuntować mężulka, że i ten mi czynił przedstawienia, aby chłopców nie męczyć.

Tłumaczyłem mu, że w nauce są zacofani, że to co umieją, jest tak skąpe, iż powinni byli przed rokiem ubiegłym już umieć, że muszę od początku z nimi przechodzić pojedyncze przedmioty, aby dojść do tego, co dzisiaj umieć i znać powinni. Inaczej nie śmiałbym nawet z nimi na egzamina wyjeżdżać, gdyż nie odpowiedzieliby takowym. Zresztą dłuższe uczenie potrwa zaledwie miesiąc, bo mają dobrą pamięć i pojęcie. Prosiłem go, by był łaskaw przysłuchać się lekcyom, jak to ja prawie na łopacie muszę wykładać niemczyznę, rachunki i t. d. Jakoż przychodził, przysłuchiwał się i był zadowolony. Ja rozmawiając uczyłem, potem pauzowałem, i znowu uczyłem; a ćwicząc w ten sposób pamięć, doprowadziłem, że łatwo spamiętali. Wkrótce był już ład i lekcye kończyły się rychło. Brałem chłopców na przechadzkę, a tam uczyłem ich o ziemi, o słońcu, o gwiazdach, narodach i t. p. Albo też opowiadałem bajki i legendy.

Obchodzenie się ze mną było — szlacheckie. Szlachcic nigdy ze mną nie rozmówił się i nie przypuszczał chociażby do najmniejszej poufałości. Szlachcianka krajała chleb na porcye, smarowanem masłem lub powidłami. Zamiast kawy dawała lurę, albo zlewki, nie prosząc do stołu. Do obiadu miałem szczęście siadać ostatni. Panicze, pierwej potrawy brali odemnie, aż uczyniłem uważnym szlachcica, że to uchybia powadze nauczyciela. Jeżelim się gdzie zabawił i spóźnił na kolacyę, to nic nie dostałem; musiałem się głodny kłaść do łóżka. Przy stole nie rozmawiano ze mną, nawet o nauce, ale tylko z dziećmi, o lekcyach, o obchodzeniu się z niemi, i to w mej obecności.

Jeżeli byli goście, to do towarzystwa nie wzywano i nie zawsze w takim razie do stołu. Pan dziedzic nie brał mię nigdzie z sobą, prezentu żadnego nigdy nie otrzymałem, nawet paczki tytoniu.

W takich to warunkach prowadziłem to rzemiosło pedagoga. We wsi prócz ekonoma nie było nikogo, to też życie bez towarzystwa było bardzo przykre, a więc zajęcie się literaturą było koniecznością. Lecz oprócz *Przyjaciela ludu*, nie było co czytać. Zdobył wprawdzie szlachcic i *Rozmaitości* i te mi godziny jedynie skracały, wypisując z nich wiersze i inne ustępy.

Z wiosną odżyła natura, odżył i umysł, a poezya przemawiała zewsząd do mojej duszy. Zetkną-

a nawet osłabiające wiarę w Boga. A więc tu szukajmy pierwszych zarodków wszelkich zachcianek przewrotu społecznego.

W takiejto groźnej chwili zaczęli się zastanawiać nad tem położeniem smutnem przedstawiciele kraju i monarchii, a w sejmach i Radzie państwa uchwalono nową ustawę przemysłową, która uzyskała sankcyę najwyższą Monarchy i ma być w kraju wprowadzoną w życie.

Niejednokrotnie podnosiliśmy już, że nowa ta ustawa nie ma jeszcze tych wszystkich warunków, któreby rzeczywiście złemu skutecznie zapobiedz mogły. W każdym jednak razie jest ona cennym nabytkiem, bo daje możność wyjścia z nieszczęsnego chaosu, aby uczciwy przemysł i rękodzielnictwo oprzeć na wzmacniających je w siłę prawach.

Cóż jednak z tego wszystkiego, jeżeli kapitał, nie uwzględniający prac ogółu społeczeństwa, a który postanowił za jakąbądź cenę mnożyć swe mienie, nie chce się zgodzić na to, aby mu nawet najwyższa sankcya Monarchy mogła przeszkodzić w praktykowaniu dotychczasowych operacyj finansowych. Zagrożeni wyzyskiwacze podnieśli okropny krzyk, zaczęły się sypać protesta, to też nie dziw, że nowa ustawa przemysłowa, aczkolwiek obowiązuje od r. 1883, podziśdzień zaledwie ślady mamy tego, że weszła w wykonanie. Osią tej nowej ustawy jest §. 14., który dosłownie brzmi:

„Do rozpoczęcia rzemiosła potrzeba obok przestrzegania przepisów §§ 11, 12, i 13., jeszcze dowodu uzdolnienia, jaki stanowi świadectwo nauki i świadectwo pracy, stwierdzające, że ubiegający się pracował przez kilka lat jako czeladnik w tem samem rzemiośle lub w podobnej fabryce“.

I ten to paragraf, który jedynie może uposządkować nasz przemysł i rękodzielnictwo, a położyć tamę partactwu, wyzyskiwaniu i tworzeniu strasznych w następstwach mas proletaryatu przemysłowo-rękodzielniczego, wywołuje coraz zaciętszą walkę pomiędzy pracą prawidłową uczciwą, a wyzyskiwaczami i partactwem. Naturalnie, że Lwów jako stolica kraju jest najgłówniejszą areną tych bojów i jak się one tu zakończą, pójdzie za tym przykładem cały kraj.

Zawiązana Izba rękodzielnicza lwowska stanęła z prawdziwie obywatelską odwagą do tej walki, a prowadzi ją wytrwale i konsekwentnie. Szermierstwo to w dobrej sprawie, zasługuje z tego szczególniej względu na powszechne uznanie, że w Izbie rękodzielniczej lwowskiej nie ma Polaka, Rusina, lub Żyda, ale stoją związani szlachetną łącznością obywatele kraju i stolicy, z której powinna się rodzić tylko uczciwość i sumienność.

Strona przeciwna, czyli kapitał wyzyskujący i partactwo, usiłując w błąd wprowadzić szersze koła społeczne, nie zaniedbuje wszelkich środków na które się zdobyć może, aby sprawę tę przedstawić jako wyznaniową, a mianowicie obróconą przeciwko żydom. Dzięki Bogu, ten niezręczny manewr i już po części zużyty, nie wydaje takich owoców, jakie klika wyzyskująca uczciwą pracę rękodzielniczą i przemysłową zebrać się spodziewała. Żydzi n. p. u nas we Lwowie, stanowią znaczny jak wiadomo kontyngens mieszkańców. Jest wprawdzie wielka bieda pomiędzy klasą roboczą chrześcijańskiego wyznania, ale jest daleko straszniejszą pomiędzy żydami, która się wprost nie da opisać. Tam znajdziemy takie obrazy nędzy, o której słusznie powiedział p. Niemczynowski, prezes Izby rękodzielniczej, na posiedzeniu Izby handlowej, że nasi chrześcijańscy robotnicy jeszcze dzięki Bogu nie doszli do takiej nędzy.

Co jest jeszcze ciekawsze w tej walce, to ta okoliczność, że wyzyskiwacze i opiekunowie partactwa usiłują wprost ośmieszyć zasadniczą walkę Izby rękodzielniczej lwowskiej, jakoby tylko Stowarzyszenie krawieckie, lub też pewna liczba tychże (naturalnie, tylko chrześcijan) dla własnego zysku niektórych bogatych krawców lwowskich, dążyła do utrzymania się monopolu w pracy. Podsuwanie takich myśli i tendencyj krawcom dla tego, że stowarzyszenie to pierwsze podjęło walkę, aby nowa ustawa przemysłowa nie tylko przez Najwyższą sankcyę, ale w praktyce uzyskała swe prawa, jest wprost nieuczciwe. Ale aby nabyć wyobrażenie o całej rzeczy, będziemy się trzymać tylko sprawy krawieckiej, która we Lwowie tak wygląda:

Nieograniczona wolność handlu dozwala każdemu obywatelowi, jeśli tylko posiada jakiekolwiek środki na to, otwierać sklepy i składy z wszelkiego rodzaju towarami. A więc, gdy kapitał operujący za granicą kraju zaczął produkować gotowe ubrania, postarano się o to, aby Lwów i całą Galicyę uszczęśliwić tymi tanimi wyrobami. Przeciwko tym praktykom, jakkolwiek rujnującym krawiectwo krajowe, i stawiającym go prawie w niemożebności konkurencyi, nie można było nic powiedzieć, ani się też opierać. We Lwowie powstało takich handli sto trzy, a więc bardzo groźny zastęp wobec naszego miejscowego krawiectwa, szczególniej wobec zasad, jakie się coraz więcej mnożą w społeczeństwie: „mniejsza o to jaki towar, byle tani.“

Ale stu trzech handlarzy lwowskich nie przestało na tem, aby sprowadzać z Wiednia i skądinąd gotową garderobę na sprzedaż; — zaczęto sprowadzać materye na ubrania wełniane i inne i każdy handlarz tak samo jak wyuczony krawiec brał miarę i robotnikom swoim kazał robić nowe ubrania. Możnaby jeszcze i to postępowanie uwzględnić, gdyby ci handlarze roboty te oddawali wyuczonym krawcom, opłacającym jako tacy podatki, i wynagradzali za pracę, jak przynajmniej sumienie nakazuje. Tak się jednak nie działo i nie dzieje. Wyszukiwali bowiem najnędzniejszych partaczy i niedouczków, chłopaków krawieckich, którzy pouciekali z warstatów i w ten sposób usiłowali pracować na siebie samodzielnie, lub też posiłkowali się handlarze ostatnimi nędzarzami, chociaż umiejącymi pracować, ale których takimi zrobili rozmyślnie, dając naprzód jakieś zaliczki w ciężkiej dobie żywota, a redukując następnie wartość pracy do cen tak niskich, które nie mogły nawet ochronić rodziny od nieustającego głodu.

I tak: taki handlarz sukien płacił swemu białemu murzynowi za robotę paletota, za który każdy majster krawiecki płaci pamocnikowi 6 do 8 złr., handlarz płacił 2 złr., i to już płaca najwyższa, a obniżał takową nawet do 90 ct. Za robotę pantalonów, od których się płaci pomocnikówi 1.50 do 2 złr., a nawet wyżej, handlarze płacili po 80 ct., a obniżali takową do 45 ct.. Za niciane pantalony płacili po 12 ct, te chciano jeszcze obniżyć na 10 ct. Dodać należy, że taki robotnik musiał liczyć w tę cenę igły, nici, jedwab, wosk i inne drobne dodatki, pominąwszy już niezbędne światło, przy którem całą noc zmuszony był pracować.

Otóż uprzytomnijmy sobie, ile taki nędzarz zarabiał, jeżeli na zrobienie paletota potrzebował przynajmniej trzech dni czasu, a na pantalony chociażby dzień. Pominąwszy już czynsz za pomieszkanie i okrycie ciała, czy był i jest w możności ochronić rodzinę chociaż od ostatecznego głodu? Łatwo wprawdzie powiedzieć: czemu się tacy robotnicy nie oprą wyzyskiwaniu handlarza i nie zaprzestaną roboty. Powiedzieć łatwo, lecz chcąc stawić taki opór, gdy kilkanaście centów ratuje żywot rodziny chociażby na dzień jeden, gdy nieszczęśliwy partacz nie ma się prawa upomnieć i to słusznie w korporacyi odnośnej lub u magistratów, to cóż mu pozostaje? Oto zmuszony jest walczyć z tą nędzą tak długo, dopóki mu tchu w piersiach stanie i ręka może igłę utrzymać.

Z ogłoszeniem nowej ustawy w r. 1883, nie kto inny, nie chrześcijanie, ale krawcy izraelici, biali murzyni na handlujących gotową garderobą, uzbroiwszy się w odwagę, gdy wyzyskiwanie dochodziło już do ostatecznych granic, przyszli ze skargą do izby rękodzielniczej, że chociaż ustawa nowa weszła w życie, handlarze sukien, trudniący się obok tego krawieczczyzną, wyciskają z nich ostatnie krople żywotne. Izba rękodzielnicza zwołała zgromadzenie krawców, na którem izraelici byli naturalnie w większości. Tam uchwalono, aby tym nadużyciom położyć tamę za pomocą nowej obowiązującej ustawy. Wskutek zażalenia do magistratu, tenże zabronił wykonywanie robót krawieckich handlarzom sukien. Zagrożeni takim zakazem magistratu, wnieśli w liczbie kilkunastu rekurs do Namiestnictwa. Namiestnictwo nakazało wstrzymać dalsze kroki, jak długo nie rozstrzygnie rekursu. Korporacya krawiecka wniosła memoryał do Namiestnictwa, wykazując, że jeżeli §. nowej ustawy inaczej będzie tłumaczony, wtenczas oddziałać musi demoralizująco i spowoduje jeszcze większy upadek rękodzieł. Namiestnictwo odesłało znowu memoryał do magistratu dla zbadania całej sprawy. Tymczasem nadużycia handlarzy trwają dalej od lat 2, ku największej szkodzie prawidłowego krawiectwa.

Nareszcie Namiestnictwo udało się do Izby handlowej i przemysłowej o zaopiniowanie, czy i o ile zasługuje na uwzględnienie przedstawienie kupców, trudniących się handlem sukna. Dalej zażądało Namiestnictwo zbadania rekursów i kart przemysłowych. Sekcya przemysłowa odbyła aż trzy posiedzenia w tym kierunku, a korporacya krawiecka sądzi i słusznie, że nieutrzymywanie warstatów przez tych handlarzy na czem oni się opierają, nie jest jeszcze dowodem, że się nie trudnią krawiectwem; gdyż właśnie to nieutrzymywanie warstatów obok sklepów we własnych pomieszkaniach, utrudnia i uniemożebnia wszelką kontrolę; a wiadomo, że nowa ustawa wyraźnie żąda, jak mają być takie warstaty i pracownie utrzymywane, i jaki rodzaj robotników jest w nich zatrudniany.

Do p. Niemczynowskiego, jako prezesa Izby rękodzielniczej, a referenta w sprawie krawieckiej, przybyli pracownicy od handlarzy sukien i podpisali petycyę, w której upraszają o uchwalenie tych wniosków, które jedynie mogą zapobiedz ich nędzy. Ośmnastu handlarzy wniosło rekurs do Namiestnictwa, z których uwzględniono tylko pp. Schayerów. Sprawa ta, czyli stanowcze zaopiniowanie o niej, miała nastąpić na posiedzeniu Izby handlowej w głównej sali ratuszowej na dniu 21. bm. Członkowie Izby handlowej zebrali się prawie w komplecie, a posiedzenie zagaił prezes Izby p. Si-

---

łem się z jedną osobą dotąd rzadko widzianą lub unikaną, z panem ekonomem Bahrynowskim. Był to typ dawnych ekonomów, zawsze z kańczugiem w ręku i z wiecznym hałasem, goniący na koniu i katujący „chamów“. Człowiek ten liczył lat pięćdziesiąt kilka, ojciec ośmiorga dzieci, którym żadnego wychowania ani przykładu dobrego nie dawał. Tyran dla żony i dzieci. Starsze wyniosły się z domu, młodsze bose, obszarpane, w koszulkach tylko, walały się w domu bez nauki, bez bojaźni bożej. Stary rozpustnik szerzył po wsi demoralizacyę, dopuszczając się nieomal publicznych gwałtów. Prowadził żywot ohydny; z tej przyczyny, gdy mu żona czyniła wyrzuty, a trafiła na chwilę gdy miał we łbie, tłukł ją, bił i katował, a dzieciaki za matką w niebogłosy krzyczały. Gdy się to często powtarzało, pomimo, że był dobrym ekonomem, wymówiono mu słusznie służbę. Wyniósł się z dziećmi na kawał gruntu swego, który był nabył za tanie pieniądze i tam żył.

Ten sam B. błagał mię usilnie, abym mu uczył chłopczyka. Czyniłem to w wolnych chwilach, bezpłatnie, mając wzgląd na biedne dziecko. Siostra tegoż chłopczyny 15-letnia Kasia służyła we dworze. Była to dziewczyna opuszczona, z niebieskiemi oczyma, nie ładna, ale przyjemna. Do tej po pierwszem i drugiem widzeniu się i wielokrotnem stykaniu, jak to taki nauczyciel we dworze z garderobianą, roznamiętniło się we mnie ludzkie uczucie, które zowiemy miłością. Zrazu działo się to bardzo skrycie i ukradkiem, że tego nikt nie spostrzegał. Później zaś, gdy ojciec oddalony wziął Kasię do siebie, widywałem się z nią i za wiedzą rodziców, ale w granicach największej przyzwoitości. Bóg mi dziś świadkiem, że była to miłość gorąca, ja miałem lat 20, a ona 15 albo 16. To też zaraz gdy się lekcye ukończyły, laska do rąk i gonię do mojej Kasi. Pod okiem matki lub ojca ciągły się nasze rozmowy. Rozmawialiśmy więcej oczami, a tylko rzadko i ukradkiem dotknąłem się buziaka. I to uczucie, ta miłość, zaślepiła mię tak, że myślałem się rzeczywiście połączyć z moją Kasią; ale rozmowa dziedzica, którego prosiłem, aby mi po wakacyach wyrobił miejsce u justiciaryusza w Przemyślanach na praktykanta, nakazywała się zastanawiać. Dalej listy ojca i osób innych, oziębiły moje zabiegi, ostudziły nieco moją gorączkę. Stosunku z Kasią zerwać nie mogłem, ale hamowałem się w zapałach miłości; tak się ciągło do końca roku szkolnego.

W owym to czasie rozpoczęły się srogie łowy na emigrantów, którzy w pochodzie swoim do Francyi, pozostali w kraju. Metternich w porozumieniu z Moskwą, aby oczyścić Galicyę z żywiołów rewolucyjnych, kazał ich chwytać. Komisarze obwodowi z wojskiem wpadali wśród nocy na spokojne zacisza domowe obywateli, i z największą wściekłością przetrząsali domy, śpichrze, piwnice, szukając biednych wychodźców, których albo więzili, albo ok tych oddawali w ręce moskiewskie. W tych obławach nagnano i do zacisza pana T. dwóch biedaków, który im przeznaczył chwilowy pobyt w moim alkierzyku. Dopiero to w rozmowach nocnych z tymi nieszczęśliwymi, dowiedziałem się o doli rodaków pod rządem moskiewskim. Oni to otworzyli ślepemu oczy i myśl, nauczyli mię dopiero, że jestem Polakiem równie jak oni i t. d. Serce rosło we mnie, słuchając ich mów apostolskich. Zawrzała krew ludzka w żyłach moich, pokochałem ich i Ojczyznę i odtąd stałem się wiernym tej oczyzny synem.

Krótki był ich pobyt, musieli umykać dalej, a żegnając się ze mną, zostawili mi „Księgę narodu“ Mickiewicza, której się na pamięć nauczyłem i w ukryciu chowałem. Gdy się przed panem T. z uczuć patryotycznych wyspowiadałem, dostałem od tegoż książkę pod tytułem: „Moskale w Polsce“, a potem Konstantego Carewicza, czyli Joannę Grudzińską, która to książka do głębi mą duszę zakrwawiła. Pałała we mnie nienawiść do tych, co Polskę zaprzepaścili. Chwyciłem się gorąco do czytania dziejów polskich. O, z jaką to ja rozkoszą rozbierałem dzieje Polski przez księdza Wagę pisane, a przez Lelewela poprawione. Myśli i wypisy do późnej nocy spać nie dozwalały. Pokocha[illegible] ojczyznę, stałem się człowiekiem.

Po odbytym z dziećmi szlacheckiemi egza[illegible]

mon w obecności komisarza rządowego p. radcy Michla.

Po odczytaniu referatu przez p. Niemczynowskiego i objaśnieniu tegoż ustępu, a mianowicie, że sprawa nie ogranicza się na krawiectwie, lecz dotyczy wszystkich rękodzieł, oraz nadużyć kupców i handlarzy, zażądali głosu pp. Gubrynowicz, Dymet, Jakób Piepes, Rucker, Ignacy Fried, którzy nietylko ku zdumieniu naszemu, ale znacznej części członków Izby handlowej, zaczęli gorąco bronić sprawy handlarzy sukien, a to jak twierdzili z poglądu zasadniczego, że w razie zabronienia dotyczasowej procedury handlarzom, sprzedającym suknie i gotowe materye, dotknęłoby to ciężko wszystkie działy kupiectwa i uniemożebniło handel. Nie będziemy tu powtarzać dosłownie, bo brak na to miejsca, wywodów tych panów kupców, w szczególności zaś Gubrynowicza i Dymeta, gdyż wywody ich nie wytrzymują nawet elementarnej krytyki, nie mają bowiem na celu podniesienia przemysłu i rękodzielnictwa krajowego, a tem mniej moralności społecznej i handlu. — Wiedzą oni o tem bardzo dobrze, iżby im nikt nie przeszkadzał ani ich zato pociągał do odpowiedzialności, jeżeliby w zawodach swych kupieckich robili zamówienia u uzdolnionych i uprawnionych rzemieślników.

Dziwić się zaiste należy, że ci panowie zajmując wybitniejsze stanowiska w handlu lwowskim, nie umieją się wznieść myślą na poważniejsze stanowisko poglądów do rzeczywistych potrzeb kraju, gdyż strona, z którą się łączą, żąda widocznie, aby wszelkie ustawy obowiązujące były tylko czczą formą, w ręku zaś niesumiennych wyzyskiwaczy pozostawione było berło panowania jak dotąd.

P. Ignacy Fried wzniósł się do roli obrońcy krawców, twierdząc, że jeżeliby tym 103 handlarzom miało być wzbronione przyjmowanie zamówień, to 300 krawców partaczy pozostanie bez chleba. (Miał on tu na myśli wrzekomych krawców izraelitów, gdy w tej chwili kilkunastu zwolenników na galeryach zaczęło klaskać, reszta zaprotestowała przeciw takiej obronie. Otóż widoczne, że i rękodzielnikom izraelitom otwierają się oczy).

P. Walichiewicz pierwszy daje odprawę opartą na logice i stawiającą w właściwem świetle obrońców partactwa handlarskiego. Dowodzi on, jak to tego rodzaju wolność zarobkowania wytworzyła u nas proletaryat nieznany dotąd w tak strasznej liczbie. Aby zapobiedz złemu, którego dziś przewidzieć nie można, gdzie sięgnąć może, potrzeba przestrzegać ścisłego wykonania nowej ustawy. Na kupców nikt się skarżyć nie będzie, jeżeli będą sprowadzać dobre towary i dawać takowe uzdolnionym rzemieślnikom do przeróbki. Proletaryat wrzekomo rękodzielniczy, jaki się staje plagą miasta, mają właśnie ci tandeciarze na sumieniu. Zabraniając partactwa wrzekomym krawcom, uzyska się tem samem zasadę do powstrzymania innego partactwa.

P. Świsterski Wiktor zarzuca również handlarzom sukien, że to oni właśnie wyzyskują biednych krawców i że ten ich kapitał wytworzył proletaryat we Lwowie.

P. Baczewski pomimo, iż sprawa cała była wyczerpująco w komisyi omówioną, stawia wniosek, aby znowu była odesłaną do komisyi dla należytego zbadania. Jestto rzeczywiście konik, na którym można jeździć do nieskończoności.

P. Juliusz Mikolasch w zwięzłych a poważnych słowach zbija wniosek p. Baczewskiego, twierdząc słusznie, iż komisya nic nowego powiedzieć nie może. Wzywa Izbę handlową, aby się przychyliła do wniosków referenta, gdyż inaczej postępując, działałaby wbrew ustawie.

Nic to jednak nie pomaga, bo p. Piepes nazywając §. 14. ustawy, jakoby ograniczeniem rękodzielnictwa, rzuca jakiś wrzekomo genialnym pomysłem ku zespoleniu sił rękodzielniczych i zawiązaniu jakiejś „spółki zarobkowej“, a aby sprawę przewlec za jakąbądź cenę, stawia wniosek o odesłanie sprawy do magistratu celem zbadania. (To już ironia i drwiny w wyższym stylu).

Po takiej dyskusyi p. radca Michel jako komisarz rządowy oświadcza, że Izba handlowa przywiązuje większą doniosłość do zapytania postawionego przez Namiestnictwo tejże, aniżeli Namiestnictwo miało na myśli. Namiestnictwo interpretować nie może ustawy. W obecnym wypadku rozchodziło się o rekursa przeciw zarządzeniom magistratu, który zarządzić powinien ściśle dochodzenie. Namiestnictwo nie jest upoważnione do zasadniczego roztrzygnięcia, może tylko decydować od wypadku do wypadku.

P. Michalski poleca gorąco wnioski referenta, a jeżeli jacyś krawcy wnieśli petycyę przeciw, to ich do tego zmuszono, dając zaliczki na nowe roboty, a cóż taki biedak w obecnem położeniu nie zrobi?

Prezes Izby p. Simon oświadcza, że po raz pierwszy zdarza mu się, iż w formie uchwały ma przed sobą coś, o czem mówiono trzy godziny, a nie wie do czego ta dyskusya zmierza. Uważa uchwałę wniosków jako bezskuteczną.

P. Niemczynowski wobec takiego orzeczenia żąda, aby przynajmniej umotywowanie wniosków dołączone było do aktów i odesłane do Namiestnictwa.

P. Bodyński wyjaśnił, że komisyi przemysłowej chodziło widocznie o powzięcie zasadniczej uchwały, według której możnaby ocenić wniesienie przez 18 kupców rekursów. Uchwała ta miała być tylko dyrektywą dla samej komisyi.

P. Simon odracza posiedzenie i odsyła tę sprawę znowu do komisyi przemysłowej.

Nadmienić musimy, że zaknomity referat p. Niemczynowskiego, galerye natłoczone po części przez kupczyków i chłopaków od handlarzy sukien, a w drugiej połowie przez krawców izraelitów, ci ostatni przyjmowali gorącymi oklaskami. Wychodząc z sali, słyszeliśmy, jak głośno krawcy izraelici postanowili wnieść protest przeciw wrzekomym obrońcom ich, jak pp. Gubrynowicz, Dymet, Piepes Rucker, Fried, Baczewski.

Wstrzymujemy się od dalszych komentarzy, gdyż to cośmy napisali, wystarczy, aby pojąć, jaką walkę wypada toczyć, aby nawet taka nowa ustawa przemysłowa uzyskała swe prawa w praktyce żywota przemysłowo-rękodzielniczego.

Zdenerwowany wiek.

(Prof. Dr. v. Krafft-Ebing. Ueber Gesunde u. Kranke Nerven. 2-te Auflage. Tübingen. Verl. d. H. Laupp'schen Buchhandl.)

Pod tym tytułem wyszło dzieło, które znalazło obszerną ocenę w kilku Nrach *Przeglądu tygodniowego* warszawskiego. Żałujemy że nie możemy podać całości tej znakomitej oceny, gdyż ta zabrałaby zanadto wiele miejsca w naszem wydawnictwie. Podajemy więc tylko wyjątki.

„Żyjemy w stuleciu olbrzymich nauki postępów rozkwitu sztuki, zadziwiających odkryć, niesłychanego rozrostu handlu i przemysłu.... W porównaniu do wieków ubiegłych zrobiliśmy ogromny skok naprzód. Zdawałoby się, że cywilizacya współczesna powinna, nas także obdarzyć lepszem zdrowiem, większą sumą szczęścia, wszechstronniejszem zadowoleniem.

Ale, niestety, zadowolonym, spokojnym, zdrowym, współczesny człowiek cywilizowany nie jest.... Wspaniałe obrazy cywilizacyi naszej mają swoje cienie i to cienie niekiedy bardzo czarne. Zwłaszcza w centrach cywilizacyjnych, w wielkich miastach widzimy masy wybladłe, znudzone, niespokojne. Że mimo wszystkie zdobycze, jakie potężne myśli ludzkiej zawdzięczamy, nie jesteśmy bynajmniej szczęśliwi, świadczy i to już, iż beznadziejna filozofia Schoppenhauerów i Hartmannów, coraz szerszą rozlewa się falą...

Robakiem toczącym owoce cywilizacyi, zatruwającym zadowolenie i życiową energię nowożytnych społeczeństw jest zdenerwowanie (Nervosität). Chorobliwości tej nerwów naszych przypisać to rozczarowanie i pessimizm, ten *Weltschmertz*, który dziś zewsząd wieje i którego jednym z najbardziej niepokojących objawów jest przestraszający wzrost liczby samobójstw i chorób umysłowych. Są to wszakże najcharakterystyczniejsze tylko produkty współczesnego rostroju nerwowego, obok których mamy setki innych.

Każdy, kto socyalne i biologiczne warunki współczesnego życia cywilizacyjnego bada, musi najkonieczniej przyjść do przeświadczenia, że nowożytne społeczeństwo czeka moralna i fizyczna ruina, jeśli stosunki nie ułożą się tak, aby rozwój kulturny spokojniejszym popłynął biegiem, ciału i umysłowi więcej spokoju i skupienia zapewnił i moralniejsze cele bytu odsłonił.

Nim wszakże cel ten osiągniemy, dzieje nie jedną posępną zapiszą kartę. Rasowa i klasowa nienawiść, nędza i cherlactwo, nikczemne zapasy w imię materyalnej korzyści, zużywające najszlachetniejsze siły ducha i ciała — dziesiątkować i unieszczęśliwiać będą ludzkość.

Podniecenie, do jakiego w centrach cywilizacyi nazwyczailiśmy się i na które dzięki temu przyzwyczajeniu mało zwracamy uwagi, nie jest znamieniem zdrowia i siły, jeno zdenerwowania i osłabienia... System nerwowy współczesnego mieszkańca wielkiego miasta, podobnież nie znosi prostego i spokojnego życia, jak osłabiony żołądek smakosza prostego i zdrowego pokarmu. Jak tego zadawalnia jedynie z pikantnemi korzeniami i z całą rafineryą kucharską przyrządzane danie, tak znowuż tamten dla uspokojenia swych rozluznowanych nerwów, pikantnych podrażnień potrzebuje. Im zaś niezdrowszy system nerwowy, tem więcej żąda podrażnień, coraz to rozmaitszych, raz wraz więcej podniecających.. a że wszystko się to płaci, więc za pieniądzem szalona gonitwa, aż w końcu i za pieniądz i za użycie zapłacimy wyniszczeniem mózgu!

Dzień cały w natężonej pracy dla grosza, lub w drżącze nerwowej o interesa pieniężne — wieczorem zaspokojenie potrzeby podrażnienia nerwów za jaką bądź cenę — co się nazywa odpoczynkiem... Srodków takiego odpoczynku wielkie miasta dają nam dosyć — dramaty i tragedye, karkołomne sztuki akrobatyczne, szarpiąca nerwy muzyka, zmysłowość podniecające obrazy, mocne wina, cygara, likiery, kluby, nory karciane, miłosne awantury, opisy zbrodni i nieszczęśliwych wypadków w pismach, etc. etc.

---

nie w Złoczowie, zebrałem się, pożegnałem wieś — i Kasię nie bez płaczu; pocieszając ją, że o niej nie zapomnę, skoro studya ukończę, udałem się do Lwowa.

Odebrane za naukę pieniądze niewielkie, bo tylko 20 fl. m. k., które włożyłem do książki w kuferku wraz z rekomendacyą do pewnego konsyliarza, znajomego p. T., u którego miałem objąć naukę dzieci. Przyjechałem na rogatkę; tu obskoczyli mię rewizory jak jacy bandyci i mimo oświadczenia, że nic nie mam do opłaty akcyzy, kazali otworzyć kuferek i przerzucając książki, bieliznę i suknie, bawili się po prostu; a przekonawszy się, że nic nie wiozę do opłaty, puścili do miasta. Zajechawszy do zajezdnego domu Sliwińskiego na Łyczakowie, jakież było moje zmartwienie i przestrach, gdy otworzywszy kuferek, owych 20 fl. nie znalazłem. Po trzykroć szukałem i po trzykroć stawałem jak piorunem rażony — banknocetlów nie było. Biegnę jak oparzony na rogatkę, aby oświadczyć o tym rabunku, ale mię policyant zreflektował, że to nadaremnie, bo jeszczeby mię za obrazę c. k. straży finansowej mogli oddać do policyi. Posłuchałem poczciwego „policaja“, polecając mu uwagę na tych strażników, jeżeli zaczną putać zrabowanemi pieniędzmi. Ze zwieszoną głową wróciłem do oberzy; umykając jak najprędzej do jednego znajomego, nie miałem prócz kilku cwancygierów żadnego zasobu do życia.

Kondycyę u pana konsyliarza zajął jakiś jurysta, a ja mieszkając u znajomego, pokręciwszy się tędy owędy za kondycyą, nie znalazłem takowej. Na dobitek dyrektor filozoficznych studyów niejaki Holzgethan, Niemiec, prześladowca młodzieży polskiej, nie przyjął mię na studya, popierając swą niechęć tem, że dwa lata pauzuję, czyli nie uczęszczając do szkół, zapomniałem czego się nauczyłem, a więc jako nieprzygotowany, uczęszczać na wszechnicę nie mogę. Nie pomogła osobista prośba; wszechnica była dla mnie zamkniętą.

Teraz zdawało mi się, że wszelkie nieszczęście spada na mnie, że się ziemia usuwa z pod nóg moich. Byłem na drodze rozpaczy. Co tu począć?

Poszedłem do kościoła bernardyńskiego i leżałem krzyżem przed św Janem. Modliłem się gorąco i prosiłem o natchnienie. Nie miałem ani krajcara, ani co jeść, ani we Lwowie co robić. Szukałem kondycyi na wieś. Jakiś faktor zaprowadził mię do księcia Ponińskiego z Horyńca, ale jego małżonka odrzekła mu po francusku, że jestem za młody, Alfredzio nie będzie się bał. Książę odprawił mię z niczem. Odchodząc pomyślałem sobie: trzeba sobie było wąsów pożyczyć i tak się przedstawić księciu Ponińskiemu. Bijąc się z myślami, jaki zawód sobie obrać i co z sobą począć, poszedłem znowu do grobu św. Jana z Dukli i długo się modliłem łzami zalany. Wtem przychodzi mi na myśl, czyby nie wstąpić do zakonu; ale przejął mię jakiś wewnętrzny dreszcz. Jednakowoż poszedłem do kolegi, który już od dwóch lat był zakonnikiem w klasztorze ks. Dominikanów, aby zasięgnąć rady. Kolega ten z usposobienia swego będąc już w szkołach jakby mnichem, przedstawiał mi zakon z materyalnej strony. Uspokajał, że można bez kłopotu i frasunku mieć wygodne życie, mieć rocznie kilkaset florenów, zostawszy profesorem u nich; że można i rodziców wspierać, a zostawszy przeorem, umieścić ich gdzie w swoich dobrach klasztornych i t. p. Ułożył mi taki horoskop szczęśliwego pożycia na tym padole płaczu, że zachęcony temi świecidełkami dałem się nakłonić do wstąpienia do zakonu św. Dominika z tą myślą, że to wszystko jedno być księdzem świeckim czy zakonnikiem.

Kolega powiada, że właśnie jest u nas ksiądz prowincyał, to się dowiesz czy cię przyjmie.

Wszedłszy do księdza przeora, dowiadujemy się, że ksiądz prowincyał odjechał zaraz po mszy świętej. Przeor pochwalił mój zamiar, przejrzał świadectwa, i napisawszy mi list rekomendacyjny, polecił jechać do Żółkwi, gdzie ksiądz prowincyał mieszkał. Jakoż zastawiwszy u żyda jednę z sukien, nająłem budkę żydowską, mieszczące się między siedmiu żydami, cebulą i czosnkiem cuchnącymi. W Żółkwi nocując w szynku zszedłem się z jakimś wąsatym jegomością, który z Kongresówki jechał

Życie takie zużywa nieubłaganie siłę nerwową przed czasem, przedwczesną sprowadza starość z licznemi umysłowemi i cielesnemi cierpieniami...

Wzrastający upadek zdrowia publicznego przejawia się najogólniej w słabości nerwowej i anemii. Nasze industryalne, handlowe, wielkomiejskie ogniska cywilizacyi zaludnia ogromna masa zżółkłych, schorowanych, zużytych ludzi, których krwi braknie koniecznej ilości żelaza i którzy „za wiele mają nerwów, ale za mało nerwu"

Dość rzucić okiem na ogłoszenia w pismach codziennych, aby się przekonać o anemiczności i cherlactwie nerwowem współczesnej generacyi. Przepełnione są one reklamą medykamentów, zawierających żelazo i składniki wzmacniające. Mnóstwo ludzi rok rocznie napływa do kąpieli wszelkich, nad brzegi morza lub w okolice górskie, a zdrowie publiczne nie wzmacnia się, jeno wciąż upada! Kobieta współczesnego społeczeństwa coraz rzadziej pełnić może naj pierwszy obowiązek matki. Zapotrzebowaniu mamek wieś zaledwo nastarczyć może, a reklama znowuż zachwala tysiące sztucznych środków karmienia dziecka. A czyż mamy mówić o uzębieniu obecnych generacyi, o szybko wzrastającej potrzebie coraz większej liczby lekarzy dentystów?

Ciemną stroną życia naszego wieku jest powszechna żądza za jakąkolwiek cenę przedrzeć się naprzód, wydostać na wierzch, a mniejsza o ofiary wszelkie — chętnie szatańskiej tej żądzy zaszczytu i dobrobytu poświęcamy zdrowie rodzinę, charakter... Byle jaknajprędzej pożądanego dopiąć celu!...

Francuzi na oznaczenie tej wyczerpującej i zabijającej moralnie gonitwy, stworzyli specyalny termin. Nazywa się to „robić karyerę"

Moudslay, jeden z najznakomitszych lekarzy i uczonych angielskich, zwraca właśnie uwagę, że potomstwo karyerowiczów jest niezmiernie często moralnie i fizycznie skarłowaciałem. A nie potrzeba nawet wielkiej praktyki życiowej, aby spostrzedz, że z dzieci dorobkiewiczów nawet wówczas, gdy są to wybitniejsi ludzie, rzadko uchowa się coś dobrego i uczciwego.

Rozejrzawszy się w tych czarnych stronach naszego życia kulturnego, zauważymy, iż nie są one przypadkowe — jeśli współczesna generacya skarłowaciała nerwowo, jest to jedynie skutek starcia naszego codziennego i społecznego życia z niezłomnemi prawami przyrodzenia... Nieposzanowanie tych praw sprowadza, iż obok odgłosów szczęścia i sławy zwycięzców w walce o byt, mamy tysiące zwyciężonych, złamanych śmiertelnie, co w obłędnem przekonaniu, że fundament gmachu swego szczęścia dźwigają, kopali grób swój jedynie...

A nerwy nasze każdą katastrofę życiową czynią dla nas stokroć straszniejszą i fatalniejszą w skutkach.

Tak przerażająco częste w obecnych czasach „rozmiękczenie mózgu" (sog. Gehirnweichung), jest jedynie skutkiem niezdrowych stosunków społecznych, za które w wielu razach wielką ma odwiedzialność kobieta naszego wieku.

O zdrowiu i niezdrowiu naszem decydują główne po rodzicach odziedziczona konstytucya oraz socyalne warunki życia, w sumie których wyjątkowo wybitną rolę przypisać należy wychowaniu.

O nerwowych wadach organicznych, o odziedziczonej neuropatycznej konstytucyi mówić nie będziemy. Zapoznamy natomiast czytelnika obszerniej z uwagami Kraft-Ebinga o wychowaniu współczesnem, jako przyczynie słabości i chorób nerwowych.

Wychowanie naszych czasów zbyt jednostronnie rozwija umysł kosztem zdrowia i fizycznego rozwoju ciała, a także kosztem kształcenia uczucia i charakteru. Ztąd tyle widzimy dzisiaj w okół nas egoizmu i materyalizmu obyczajowego, słabości i zupełnego braku charakteru...

Za objawy te znaczna cześć winy spada na szkołę. Gramatyka jest w niej nieledwie wszystkiem, sucha filologiczna nauka do tego jedynie zdążać się zdaje, żeby w uczniu chęć wszelką do studyów zabić, aby mu je zbrzydzić tylko. Przy metodzie natężającej jedynie myśl, a najprzeważniej pamięć, pozostawiającej zaś uczucie bez wpływów żadnych, naturalną jest niechęć do nauki, naturalnym jest ten tak powszechny dzisiaj pospiech w zapominaniu tego, co się w gimnazyum nauczyło, skoro go tylko przebrnie się jako tako.

Zaledwo załatwimy się w taki sposób z średniem ukształceniem, przystępujemy do studyów zawodowych, do nauki zarabiania na chleb, którą znowuż spieszymy odbyć co najrychlej, aby następnie pracować na drogach zawodowych bez zamiłowania, owszem najczęściej z odrazą, jedynie dla chleba. W chwilach odpoczynku współczesny zawodowiec nie zna żadnych idealniejszych potrzeb; obce są dla większości fachowców i karyerowiczów dni naszych wyższe i szlachetniejsze porywy... Idealność wymiera, ustępuje coraz więcej miejsca materyalizmowi (obyczajowemu), skoro zaś nie daje on nam zadowolenia, wyradza się zeń pesymizm, który dręczy całe warstwy i nie mało się przyczynia do zdenerwowania ciała, spaczenia uczuć i myśli.

Fatalnem też w wychowaniu współczesnem jest to, że walka o byt, że pogoń za interesem materyalnym nie pozostawia rodzicom czasu na poważniejsze pełnienie ich obowiązków pedagogicznych. Dzieje się tak zarówno w rodzinie robotniczej, gdzie praca zarobkowa rodziców dzień cały za domem trzyma, jak i w domach bogatszych lub najbogatszych.

W rodzinach zamożnych, prócz pozostawiania dzieci wynajętej opiece (która jakże rzadko jest prawdziwie pedagogiczną!) mamy jeszcze mnóstwo innych czynników szkodliwych. Środki rodziców zbyt wcześnie, niekiedy przerażająco wcześnie, otwierają ich dzieciom podwoje użycia. Losem nieuniknionym tak chowanego pokolenia — cherlactwo nerwowe. Nie rzadko zaś, wespół z innemi wpływami spaczonego wychowania, zapędza ono dzieci „najpiękniejszych" rodzin, na ławę oskarżonych, gdzie zasiadają obok córek i synów proletaryatu, rzuconych tam wcale innemi drogami, dzięki innym wpływom, innych zupełnie kategoryj czynników socyalnych. Kronika sądowa czasów naszych dostateczne świadczy, ilu nieszczęść i zbrodni powodem są braki lub brak wychowania!

Wielu rodziców zrozumieć nawet nie może, lub nie chce, jak wielkie wobec swych dzieci i społeczeństwa popełniają winy. Bez wiedzy, lub co jeszcze gorsza z pewną przynajmniej świadomością rozpieszczają dziecko, rozdmuchują kaprys i braki charakteru, namiętności jego i afektów zwalczać nie potrafią — stwarzają, słowem, ludzi nieszczęśliwych, których życie bezlitośnie raz jeszcze wychowywać musi. Niejednego wszakże, wynikły ztąd konflikt, rozbija i zabija. W ogromnej masie chorych nerwowych, lekarz-psycholog spostrzega źle wychowanych, lub niewychowanych ludzi, a to źle wychowanie, lub brak takowego, jest w wielu wypadkach jedynym szkopułem wobec którego, wszystkie najgorliwsze usiłowania lekarza idą na marne. Najupartsze choroby nerwowe, jak hipochondrya i histerya, w znacznej części zawdzięczamy wychowaniu.

Niemniej czarny cień na współczesne wychowanie rzuca nerwowy pęd dzisiejszego społeczeństwa „naprzód", który zmusza naszą młodzież do intensywnej i różnostronniejszej, niż kiedykolwiek, pracy umysłowej i wczesnego udziału w życiowych stosunkach dorosłych.

W każdej warstwie przejawia się to inaczej, w niższych, przez zapędzanie dzieci do warsztatu, fabryki — zgoła pracy zarobkowej, w wyższych, w przedwczesnem nauczaniu i wpychaniu do szkoły.

Największem złem wszakże — powszechnem zwłaszcza w mieście — jest obcowanie dzieci, szczególniej zaś wyrostków i podlotków z towarzystwem dorosłych.

Zmysłowość budzi się, dzięki temu, zawcześnie. Jest to faktem, aż nadto znanym, że płciowa dojrzałość dziewczyn w mieście o rok lub dwa wyprzedza dojrzewanie dziewcząt wiejskich, a nie trzeba zbytniej praktyki życiowej, aby wiedzieć, że tajemnice płciowe znane są dzisiaj ogromnej masie 10—12 letnich chłopców i dziewcząt. I w jakiej formie?

To też w większych miastach mamy nawet dzieci „zblazowane", nerwowe... Kto wątpi o rychłem zużywaniu się obecnej generacyi, niech przyjrzy się życiu gimnazistów, gdzie coraz konieczniejszemi stają się pince-nez i monokle, karty wizytowe, glansowane rękawiczki, pijatyki, teatry, cyrki, miłość i miłostki!..

Jak szkodliwym jest pęd „naprzód" w powyższem znaczeniu, tak niemniej fatalnemi w skutkach zapędy z hasłem „byle wyżej!" Dla tego „byle wyżej" pchamy nasze dzieci na drogi, które nietylko nie odpowiadają materyalnym środkom rodziny i podkopują jej egzystencyę, ale też niejednokrotnie przewyższają umysłowy zasób dziecka, lub młodzieńca, którego uparcie „wyżej" popchnąć chcemy.

Nigdy napływ do wyższych zakładów naukowych nie był tak wielki jak dzisiaj. Że w nim mamy dużo elementów nieodpowiednich, bo niezdolnych, albo miernych, ale społecznie niedojrzałych — nie ulega to wątpliwości żadnej.

Mniejsza już, że elementy takie są zawadą w znacznej części w dopięciu celów współczesnego ukształcenia wyższego, dla nas ważnem jest to tylko, że wielu z takich niewłaściwie „wyżej" popychanych jednostek, czekają w życiu najboleśniejsze katastrofy. Szczególniej często zdarza się to z mało uzdolnionemi dziećmi „lepszych" rodzin... Zamiast liczyć się z tym brakiem uzdolnienia — uważa się za konieczne „spełniać obowiązki wkładane przez społeczne stanowisko rodziny". To znaczy, że zamiast wychowania niezdolnego dziecka na dobrego rzemieślnika, lekcyami prywatnymi, protekcyą, przekupstwem, popychamy go na drogi całkiem dlań niewłaściwe. Ale takie „byle wyżej" w następstwie mści się bardzo gorzko! W najlepszym razie tak wypchnięte indywiduum, społeczne swoje obowiązki ze szkodą dla kraju spełniać będzie. Najczęściej wszakże walkę z trudnością zawodu i płynące ztąd niepowodzenia odpłaca się zdrowiem ciała i umysłu, słabością i chorobą nerwową.

Na szczególniejszą wszakże i pilną uwagę zasługują błędy obecnego wychowania kobiety.

Przedewszystkiem wychowanie, jakie dziewczęta nasze najczęściej otrzymują, nie liczy się bynajmniej z przyszłem ich zadaniem, jako żon, matek, przewodniczek wychowania swych dzieci, i t. d.

Przesiadywanie w pokoju i przeciążanie konwencyonalną nauką najgorzej wpływa na ogólny rozwój ciała, a przyśpiesza stadya płciowego dojrzewa

---

do Lwowa szukać nauczyciela. Zwierzyłem mu się, że przyjechałem do Żółkwi w celu wstąpienia do zakonu św. Dominika. Do późnej nocy starał się ten jegomość wybić mi z głowy zakon. Przyrzekał dość sowitą zapłatę, abym jechał do niego i dzieci uczył. A gdy oświadczyłem, że umiem po francusku i wszelkie książki francuskie bez słownika przeczytam i zrozumię, nie posiadał się z radości. Gdy zaś w końcu poznał, że jestem dobrym Polakiem, że znam dzieje narodu swego i ostatniego powstania, szlachcic w uniesieniu całował mię i zaklinał się, że mię nie puści do zakonu Gdy szynkarka weszła ze świecą do naszej stancyi, mówi do niej: — „Widzisz pani, ten młodzik chce wstąpić do zakonu! — Nie szkodaż go, nie będą dziewczęta za nim płakać? Ino mu żyć na świecie, mógłby kogo uszczęśliwić, a on się chce żywcem zagrzebać.

Szynkarka dosyć młoda i przystojna nalegała na mnie, abym odmienił swój zamiar. I tak gadu gadu, zasnąłem snem twardym, a mój jegomość chrapał po długiej podróży.

Rano wstawszy i posiliwszy się, zapłaciłem za nocleg i śniadanie, udając się do klasztoru Dominikanów. Miasto wyglądało okropnie, po pożarze niedawno temu wybuchłym. Wstąpiłem do kościoła i modliłem się. Po mszy udałem się do zakrystyi i pytałem o księdza prowincyała. Przyszedłszy do jego pysznie umeblowanej celi, ucałowałem mu rękę, oddając list rekomendacyjny. Przeszedł go oczyma, pytając o świadectwa, a przeglądnąwszy je rzekł: „Masz piękne świadectwa, los widać ściga cię, ofiaruj się Bogu i św. Dominikowi, a będziesz zadowolony żył w naszym zakonie. Mając talenta, możesz się stać bardzo pożytecznym. A co rodzice, pozwalają ci wstąpić do zakonu?

„Już mam więcej niż 18 lat, można się więc obyć bez ich pozwolenia. A powtóre wiem, że co się tyczy obrania stanu duchownego, to ojciec mój będąc dobrym katolikiem, kocha zakonników, By wa u ks. Bernardynów w Samborze, to i mnie nie wzbroni obrać sobie stan duchowny. Napisałem już do ojca, i dziś jutro spodziewam się odebrać przychylną odpowiedź.

Przedewszystkiem — mówi ksiądz prowincyał — zapytaj się serca swego, czy czujesz do stanu tego powołanie?

— Już od młodocianego wieku przysposabiałem się do stanu duchownego i mojem życzeniem było aby zostać księdzem. Gdy mi los przeciwny stanął na zawadzie i nie dopuścił, abym był świeckim chcę przynajmniej zostać zakonnikiem. Wszak to wyższy stopień doskonałości.

Pochlebiła ta odpowiedź prowincyałowi i rzekł mi: „Świadectwa twoje zostawisz, muszę je podać do gubernium, a nim przyjdzie zezwolenie, minie jeszcze kilka miesięcy. Jeżeli sobie życzysz tymczasem odwiedzić rodziców, lub gdzieindziej pojechać, to możesz, bo sam nie byłbym za tem, abyś jechał na nowicyat, gdyż będziesz miał później dość. Gdy przyjdzie pozwolenie, to ci doniesć każę do Sambora.

Podziękowałem grzecznie, ucałowałem rękę i odszedłem. Nie mając żadnych rzeczy., nie wróciłem do szynku, gdziem nocował i gdzie nadaremnie czekiwał mię szlachcic. Klasztorną okazyą dostałem się do Lwowa jako aspirant zakonny. Nie mając we Lwowie żadnego zatrudnienia, z trzema cwancygierami, które mi kolega pożyczył, wyjechałem do domu, do Sambora.

Zamiar zakonny chwieje się.

Przyjechałem do domu rodzicielskiego i przyjęty zostałem z uczuciem od rodziców. Zamiar mój pochwalił ojciec z tą jednak uwagą, że lepiejby było, gdybym został księdzem świeckim, „bo byś mógł, rzekł ojciec, w czasie podać rękę ojcu, na siłach już omdlałemu, i stać się podporą naszej starości; a jako zakonnik nie będziesz mógł tego uczynić".

Dopiero po przedstawieniu, że w bogatym zakonie OO. Dominikanów można to samo uczynić, uspokoił się ojciec. Nie chcąc być ojcu w domu ciężarem, wyszukałem sobie miejsce pisarza u komornika z obowiązkiem dawania lekcyj językа niemieckiego jego dwom dorosłym córkom. Za to mi

nia. Nie szanujemy zdrowia naszych dziewcząt w najważniejszych nawet fazach ich fizycznego rozwoju. Ztąd tak powszechne dzisiaj anemie, bladaczki, torujące drogi chorobom płucnym i przedewszystkiem cierpieniom nerwowym.

Nasze wychowanie kobiece w większości wypadków jest jedynie wychowaniem ułatwiającem zrobienie dobrej partyi (znowuż objaw karyerowiczowstwa sui generis!), nie kształci prawdziwie uczucia i serca kobiety, nie przyzwyczaja jej do prostoty i wystarczenia samej sobie, nie porywa ją do szerszego, wyższego, szlachetniejszego polotu.

Ale mniejsza już o wychowanie domowe. Nauka w szkołach żeńskich, w których przeważnie zresztą średnie i niższe warstwy tylko korzystają, podobnież jak i w gimnazyach męskich, fałszywie jest zorganizowaną. W niektórych kierunkach plan nauk wyśrubowano niepotrzebnie, w innych nierównomiernie go ścieśniono — o najważniejszych często wcale zapomniano...

Panny nasze, zwłaszcza „sfer ukształconych" są wszystkiem byle nie tem, czem być powinny, jako przyszłe żony i matki. Nie równie wcześniej zaczynają one rozczytywać się w romansach, niż zaglądają do poradnika kucharskiego, naprzód śpieszą do teatru na koncert, na bal, niż do kuchni lub spiżarni, następnie tak chowana panna zostaje mężatką zaledwo dojrzawszy, często niedojrzawszy nawet, bez koniecznych w nowej fazie życia wiadomości, bez niezbędnego doświadczenia, a pełna iluzyi i wymagań, których proza i powaga codziennego życia naszych czasów zadowolnić nie może.

Niektórzy statystycy zapewniają, że 75 procent współczesnych małżeństw stanowią małżeństwa mniej lub więcej nieszczęśliwe. Być może, iż jest w tem cokolwiek przesady, ale nie ulega wątpliwości, że spaczona fałszywem wychowaniem w uczuciach, do użycia i zbytku nazwyczajona, pnąca się po nad swoją sferę socyalną (a dodajmy czego Krafft-Ebing nie mówi, umysłowo na równi z mężczyzną nie ukształcona), fizycznie słaba, od pierwszego połogu chorowita kobieta — oczywiście nie zawsze jest odpowiednią towarzyszką życia.

Rozczarowania z obu stron są konieczne — jak zaś atmosfera rozczarowania wpływa i wpływać musi, przedewszystkiem na nerwy, o tem mówić obszerniej niema potrzeby...

Nie lepiej wszakże gdy pozostaje kobieta starą panną — czego przyczyną w wielu razach jest znowuż nasze wychowanie: staropanieństwo, także rój cierpień psychicznych i fizycznych za sobą prowadzi; słabości nerwowe zaś w ich liczbie zajmują najwybitniejsze stanowisko...

Słowem braki współczesnego wychowania nietylko w szczegółach, ale wielokrotnie i w całym jego kierunku ze stanowiska wymagań higieny i medycyny są ogromne. A coraz groźniejsze tych braków skutki, co raz stanowczej i nieodwołalnej o konieczne wołają reformy. Społeczeństwo powinno wreszcie zrozumieć co na tem traci!

Do współczesnych stosunków małżeńskich, jako przyczyny chorób nerwowych wraca Krafft Ebing, raz jeszcze w rozdziałku „Moderae Ehen", rozwija w nim tylko wszakże niektóre myśli wyżej wypowiedziane sądząc, że obecne stosunki małżeńskie najniewątpliwszym są dowodem odbywającego się rozkładu dzisiejszego społeczeństwa (str. 73).

Następnie mamy kwestyę alkoholizmu. „Jedną z najważniejszych przyczyn osłabienia nerwowego i nerwowych chorób, jest nadużycie napojów spirytusowych".

Alkoholizm jest jedną z najstraszniejszych plag naszych czasów.

Kilka cyfr wystarczy, aby scharakteryzować grożące społeczności niebezpieczeństwo. W zakładach dla umysłowo chorych rozmaitych krajów środkowej Europy, choroby umysłowe spowodowane przez pijaństwo, stanowią 10—15%. W Szwecyi skonstatował Dahi, że 60% idyotów rodzi się z rodziców pijaków. W Anglii na 1 milion publicznie wspomaganych ubogich 800.000 do nędzy przyprowadziło pijaństwo. W 1872 r. mieszkańcy Wielkiej Brytanii czwartą część narodowych dochodów wydali na napoje alkoholiczne. W północnej Ameryce i Rossyi, gdzie państwo otrzymuje około 200 milionów rocznie podatku od napojów spirytusowych, 75% zbrodni powoduje pijaństwo, w innych krajach 50%. Prawie 50% samobójstw wywołują ekscesy w używaniu trunków.

Największe niebezpieczeństwo społeczne alkoholizmu w strasznych skutkach, jakie na zdrowie fizyczne i umysłowe potomstwa wywiera. Wątpić należy czy rodzice pijacy kiedykolwiek zupełnie normalnie umysłowo dzieci mieć mogą. Szczęściem jeno dla społeczeństwa, że dzieci alkoholików długo żyć nie mogą. Jeden z lekarzy francuzkich opowiada o rodzinie pijaka, który miał 16 dzieci — 15 umarło bardzo młodo, jedyne żyjące było epileptyczne. Gdyby nie to przedwczesne wymieranie potomstwa u pijaków, nie moglibyśmy nastarczyć z domami waryatów, szpitalami, ochronami dla dzieci, więzieniami...

Jaśnie oświecone pieniactwo.

Jakkolwiek postanowiliśmy nie tykać spraw, noszących charakter prywatny, to są jednak wypadki, że organ publiczny, niezależny, zmuszony jest podnosić sprawy, jeżeli ma przekonanie i dowody w ręku, iż osoby, które stoją na wyżynach w społeczeństwie naszem, na wybitniejszych stanowiskach, imiona ich osłonione aureolą godności, są w posiadaniu znacznych zasobów materyalnych — mienia, gdy z jednej strony poświęcają się niby dla dobra ogółu, dla społeczeństwa, nie przeszkadza im to bynajmniej, aby znowu z drugiej strony, gdy przyjdzie do głowy jakaś fantazya, zapominać o przykazaniach Bożych i mijać się z tem wszystkiem, co stanowi szlachetność duszy — prawdziwe szlachectwo.

Dla fantazyi mijają się tacy wybrańcy losu z najprostszymi warunkami uczciwości społecznej, bez względu, czy się zepchnie innych śmiertelników na łono nędzy i rozpaczy. Takie postępowanie jest w wysokim stopniu ubolewania godne. Jeżeli wszelkie przedstawienia nie odniosą skutku, jest przedewszystkiem świętym obowiązkiem organów publicznych, podnosić takie sprawy i oddawać takowe pod sąd opinii ogółu społecznego.

Jeszcze raz powtarzamy, że chwytając dziś za pióro, aby skreślić niżej podany obraz czynów co najmniej nieszlachetnych, czynimy to ze wstrętem, z prawdziwą przykrością, ale tak nam nakazuje obrona biednej i uciśnionej rodziny mieszczańskiej, wobec kilku możnych i wielce wpływowych.

Rzecz się tak ma:

Od kilku wieków znany jest w kronikach miasta Lwowa tak zwany staw „Sobków", czyli realność na Wulce, składająca się ze stawu, młyna, łąk i ogrodów. Realność ta w drugiej połowie zeszłego wieku należała do ciotki rodziny mieszczańskiej Leńków, przez lat 40. W roku 1804 zapisała ta ciotka staw „Sobkowy" z należnościami Leńkom, który przed 32 latami, przeszedł w spadku na Katarzynę z Leńków, która wyszła za Jana Hoszczuka. W taki sposób realność ta jest własnością jednej rodziny przeszło lat 120.

Kronika tej realności i rodziny nie zawiera najmniejszych śladów, aby z powodu jakichkolwiek uroszczeń lub pretensyj byli właściciele niepokojeni procesami albo też żądaniami sąsiadów swych, z realnością „Sobka" graniczących.

Był spokój, a przy uczciwej i pilnej pracy wychowało sią tam kilka pokoleń. Spokój trwał nienaruszony w niczem aż do roku 1873, gdy sąsiednią realność, położoną na górze o kilkadziesiąt stóp wyżej, tak zwaną „K a s z t e l a n ó w k ę", nabył na własność swą klasztor św. Teresy. Jak się to często dzieje i jak nakazuje doświadczenie, ostrożność, mianowicie w legowaniu lub nabywaniu dóbr klasztornych, aby te kiedyś nie przeszły w niewłaściwe ręce, „Kasztelanówka" kupioną została na imię księcia A. S., który też jako właściciel został zapisany w księgach hipotecznych. Realność ta obejmuje 33—34 morgów, a jej składnikiem głównym, są pagórkowate pola rolne. Natomiast realność Hoszczuków recte staw „Sobka" położona w znanej wszystkim lwowianom nizinie, składa się głównie ze stawu, łąk i źródeł, z których woda zbiorowo porusza młyn.

Rzeczą jasną, że „Kasztelanówka" połączona z realnością Hoszczuków, miałaby tak świetne warunki bytu, jakich tylko w obrębie stolicy kraju życzyć sobie ktoś może.

Otóż i przyczyna, dla jakiej klasztor św. Teresy postanowił przyjść w posiadanie tej drugiej realności. Zwykły śmiertelnik zaproponowałby w takim razie kupno, ale są i śmiertelnicy, którzy w takich wypadkach, aby urzeczywistnić swe projekta i zachcianki, obierają inną drogę, korzystniejszą, mianowicie, jeżeli zachcianki stanowią stronę silniejszą środkami materyalnemi i wpływami. Wtenczas wybierają drogę granicznych procesów, mniejsza o to, czy takowe są uczciwe, czy też oparte na najwstrętniejszem pieniactwie.

Otóż, gdy z jednej strony na górze jest rzeczywistym właścicielem klasztor św. Teresy, a jako właściciel hipoteczny figuruje książę A. S., — a na nizinie siedzi rodzina mieszczańska (mniejsza o to, że lat 120 nie procesowana i nie pieniana, pracująca ciężko w pocie czoła i nie obznajomiona z praktyką kruczków adwokackich), dlaczegożby więc, gdy idzie na górze „o większą chwałę Boga" — nie poświęcić licznej rodziny temu najwyższemu celowi pobożności i nie przywłaszczyć sobie chociaż części stawu, młyna i łąk, dla zaokrąglenia własności klasztornej. Potem zaś, gdy już droga będzie utorowaną, zaproponować można z poczucia wielkiego miłosierdzia — kupno, gdy już rodzina Hoszczuków zostanie dobrze spreparowaną do pokory.

Niestety — liczna rodzina Hoszczuków tak ukochała to swoje gniazdo rodzinne, że postanowiła nigdy nie pozbywać się tego dziedzictwa po ojcach; a gdy jej wiekowe prawa są jasne i nigdy nie zaniepokojone, nie miała nawet pojęcia, aby się na takowe ktoś śmiał targnąć.

Aż tu w r. 1874 jak grom z jasnego nieba spada na rodzinę Hoszczuków proces graniczny,

---

ofiarował pan komornik stół i 2 fl. m. k. miesięcznie, aż do tego czasu, gdy mię zawezwą do nowicyatu.

P. komornik i jego małżonka nie życzyli mi zakonnego chleba; panny tak samo. Poradzili mi, pozostać u nich dependentem przez dłuższe lata, nabyć praktyki komorniczej, wyuczyć się praw i tak jako dependent wprawny żyć, mając dobrą zapłatę i różne dochody. Jak z jednej strony miała ta propozycya swoją wagę, tak z drugiej zdawała mi się eksploatacyą ze strony komornika, a ojciec nie dawał swego zezwolenia.

Tu wypada objaśnić, czem to był ongi komornik. Był to sobie ukończony jurysta, który zdawszy egzamina z prawa sądowego i przeszedłszy praktykę „forum nobilium", czyli w uprzywilejowanym sądzie szlacheckim, dostawał na prowincyi niezawisłą posadę sądzenia spraw sczlacheckich, zajmowania majątku pozostałego po szlachcie i duchownej osobie, przeznaczania opiekunów itd. Komornik taki także szlachcic, był zawsze szczwanym lisem; a jeżeli miał sumienie szerokie, to w krótkim czasie przychodził z krzywdą sierót i wdów do ogromnego majątku. Byli i tacy, co prosto w oczy kradli pozostały majątek. Słowem, był to urząd powszechnie znienawidzony, drugi tom mandataryuszów.

Z tych to powodów słowa p. komornika nie trafiały mi ani do głowy ani do serca. Pisywałem, co mi do odpisania dawał, i wyglądałem wezwania do zakonu. Ledwie upłynęły święta Bożego narodzenia, przyjechał p. T. do swojego teścia p. Ł. mieszkającego wówczas w Samborze. Przywoławszy mię do siebie, prosił usilnie, abym znowu przyjął obowiązek uczenia dzieci jego z tem zapewnieniem, że mi podwyższy zapłatę i o moim przyszłym losie pomyśli Chłopczyki — mówił dalej — tęsknią za tobą; lubieli cię i ciągle wspominają, że uczyliby się i umieliby wszystko inaczej, gdybyś ty ich uczył.

Stanęła wnet ugoda i warunek, aby zaraz z nim jechać do Ł. Zważywszy, że do zakonu zawsze czas, że na guwernerce mam wiele wolnego czasu i chwil swobodniejszych niźli tu u komornika, a najbardziej, powiem w sekrecie: że się będę mógł niespodzianie widzieć z moją Kasią, która o moim losie nic nie wiedziała, pożegnawszy rodziców, a opuściwszy bez pożegnania p. komornika, którego wówczas z całą rodziną nie było w domu, wyrzekłszy się nawet kilku reńskich, pojechałem z panem T. do Ł.

Uradowały się chłopczyki moim przyjazdem, a jeszcze bardziej Kasia, gdy na drugi dzień niespodziewanie tam się pojawiłem. Płakała z radości, wyrzucała mi moją oziębłość, chciała udawać obojętność, ale nadaremnie. Tak trwał stosunek miłosny między nami najuczciwszy, aż do jesieni r. 1835. W nadziei, że p. T. pomyśli o moim losie, łudziłem się, że mi dopomoże do jakiego ustalenia; ale wszystko schodziło na błahych obietnicach i odwlekaniu, abym był zniewolony i nadal uczyć chłopców. Gdy więc po odbytym egzaminie z bardzo dobrym postępem przypomniałem szlachcicowi, żeby mi dopomógł do zdania egzaminu na mandataryusza i sędziego policyjnego, oraz wystarał się o umieszczenie mnie na praktykanta u p. justicyaryusza, z którym żył w przyjaznych stosunkach, rzekł mi:

„Mój Bukosiu! Poucz mi jeszcze przez ten rok dzieci, bo ja chłopców dam do Teresianum po roku; ja ci wynagrodzę i umieszczę u Kronsteina. Tam nabędziesz praktyki, tam zdasz egzemina na sędziego, ożenisz się z inną a nie z Kasią, której ojciec jest ohydnym człowiekiem, i będziesz u mnie sędzią. Ja cię przyjmę i będę się cieszył, że ci dopomogę". Na te szczere jego oświadczenia dałem mu przyrzeczenie, że starać się będę, aby się dzieci dobrze popisały. Uproszony i ubłagany od Kasi i jej rodziców, wyjechałem do Lwowa, aby odebrać z rąk księdza prowincyała świadectwo moje z szczerem przedsięwzięciem zaniechania zamiaru wstąpienia do zakonu. (C. d. n.)

dążący do przyłączenia do „Kasztelanówki" połowy stawu „Sobka", brzegów tegoż, a nawet i moczarów. Nowi właściciele „Kasztelanówki" wynaleźli wrzekomo jakieś ślady, a ztąd pretensye, jakoby przed laty 120 część stawu „Sobka" wraz z brzegami należała do „Kasztelanówki". Sprawę tę oddano w ręce ś. p. Michała Gnoińskiego, znanego zaszczytnie we Lwowie i w kraju adwokata, a był to mecenas jeszcze tego starego kroju, który nie każdą sprawę przyjmował, mianowicie taką, która pachnęła pieniactwem. Aczkolwiek był mecenasem Jaśnie oświeconych, nie wahał się ani chwili objaśnić stronę skarzącą, że on, Michał Gnoiński, nie może się podjąć takiego procesu. Znaleźli się jednakowoż inni adwokaci mniej skrupulatni i przyjmujący sprawy bez ograniczenia, jaka woń z nich wiała — i rozpoczęła sią procedura sądowa, której kronika jedynastoletnia przedstawia taki ciekawy zbiór adwokackich kruczków pieniackich i w takich formach, o jakich dziś podają nam tylko tradycye, akta dawnego krętactwa.

Rodzina Hoszczuków postanowiła bronić spuścizny ojców, o ile siły na to i możność starczyć będą. Nie posiadając gotówki, wypożyczyła przez ten czas n a l i c h w ę przeszło 7.000 złr., ktoremi opłacała obronę adwokatów, stemple, komisye i rozmaite koszta sądowe. Rzeczą jasną, że taka procedura musiała zniszczyć rodzinę, gdy klasztor św. Teresy, posiadający do dyspozycyi krocie, nie odczuwał i nie odczuwa wydatków, łożonych ze swej strony na pieniactwo.

Przed trzema laty, położenie rodziny Hoszczuków było bardzo groźne. Kapitały wypożyczane na obronę, czyli długi zaciągnięte, potęgowała lichwa, a podbechtywani lichwiarze przez stronę przeciwną, prąc do wypłaty, ssały rodzinę Hoszczuków jak pijawki. Ta czyniąc nadludzkie wysilenia, broniła się jak mogła z jednej strony przeciw pieniactwu klasztoru św. Teresy, a z drugiej przeciw lichwiarzom.

Realność rodziny Hoszczuków została wystawioną na sprzedaż publiczną; — a gdy nadchodził ostatni termin licytacyjny, adwokat ze strony klasztoru traktował z lichwiarzami, do jakiej sumy licytować, i jak wieść niosła a głośna, klasztor, recte jego pełnomocnicy, usilowali nabyć te długi od lichwiarzy.

Nie da się opisać rozpacz licznej rodziny Hoszczuków, gdy za kilka dni staw „Sobka" i cała realność miały przyjść „na bęben" — z wszelkiemi nieruchomościami, a rodzina naturalnie wyrzuconą na drogę.

W tak krytycznej chwili uchwyciła rodzina Hoszczuków za ostatnią deskę ratunkową, udając się do Redakcyi *Strażnicy polskiej*, aby ta podniosła publicznie niepraktykowane znęcanie się nad nią i wywłaszczenie ze spuścizny, posiadanej w spokoju od lat 120.

Redaktor *Strażnicy polskiej* wystosował w tej sprawie dwa listy: jeden do Jaśnie Oświeconej księżnej I. L. S., a drugi do przełożonej klasztoru św. Teresy, podobno także księżnej A. M.

Po odesłaniu tych listów, upłynęło zaledwie trzy godziny czasu, gdy się zjawił w Redakcyi *Strażnicy polskiej* sekretarz księżnej I. L. S., pan P., z jej własnoręcznym listem, w którym księżna Pani dziękuje redaktorowi za powiadomienie jej i ostrzeżenie, o nadużyciach i niecnem pieniactwie adwokackiem, dokonywanem na rodzinie Hoszczuków, o których to sprawach, ani księżna Pani, ani jej syn książę A. S., jakkolwiek tenże figuruje jako właściciel hipoteczny „Kasztelanówki" — nic nie wiedzieli i bezzwłocznie poczynią kroki do ukończenia tego skandalicznego pieniactwa.

Gdy jeszcze sekretarz księżnej, pan P. znajdował się w redakcyi, przybył z takiej samej treści listem służący od przełożonej klasztoru św. Teresy księżnej A. M. — List ten zaraz zakomunikował redaktor *Strażnicy polskiej* obecnemu panu P.

Sprzedaż publiczna realności Hoszczuków, jako w ostatnim terminie, miała się odbyć za dni kilka, lecz na termin licytacyjny nikt się nie zgłosił, a nawet nie zajrzał żaden lichwiarz. Widocznie listy redakcyi *Strażnicy polskiej* poskutkowały.

Że zaś klasztor chciał tę realność kupić w sposób, jak wyżej nadmieniliśmy, niech posłuży za dowód co następuje:

Gdy przedtem, t. j. przed udaniem się Hoszczuków do Redakcyi *Strażnicy polskiej*, Jędrzej Hoszczuk, syn właścicielki Katarzyny Hoszczuk, udał się do brata przełożonej klasztoru św. Teresy, pana Alojzego M., błagając o litość, aby nie niszczono rodziny i klasztor nie kupował jej realności, gdyż cała rodzina wystawioną będzie na nędzę i pozbawioną dachu, p. A. M. pocieszał go, przyrzekając mu, że gdy realność będzie kupioną na licytacyi, on, Jędrzej Hoszczuk p r z y j ę t y z o s t a n i e d o s ł u ż b y w e m ł y n i e, gdyż jak oświadczył p. A. M. na młynie się nie zna, a będzie zarządzał „Kasztelanówką" wraz z młynem i całą realnością po Hoszczukach.

Po listach, które otrzymała redakcya *Strażnicy polskiej*, procesa pieniackie nie były rzeczywiście dalej forsowane, lecz zastanowione, zapewne dla tego tylko, aby chwilowo sprawa ta nie przyszła przed forum opinii publicznej, gdyż wrzekomego właściciela hipotecznego, księcia A. S., gdyby wszystkie szczegóły tego procesu wyszły były na razie na jaw, musiałoby to pieniactwo dotknąć i przedstawić w bardzo niemiłych kolorach.

Cisza ta trwała blisko dwa lata. W czasie tym wprowadzono do ksiąg hipotecznych na podstawie wrzekomego kontraktu z r. 1881, z miesiąca lipca, żonę brata przełożonej klasztoru św. Teresy p. Alojzego M., panią Antoninę z B. M., na miejsce księcia A. S., jako właścicielkę realności i jurydyki „Kasztelanówki".

Gdy zaś *Strażnica polska* przestała wychodzić, a jak głosili jej „najserdeczniejsi", „pogrzebaną została na zawsze", to też obawy o — „napaść" — uważano za usunięte i rosła odwaga do stanowczych czynów u różnych śmiertelników.

Pani A. z B. M. rozpoczęła na nowo pieniactwo graniczne, a przyznać jej musimy niezwykłą znajomość wszelkich kruczków pieniackich, oraz zdumiewającą odwagę cywilną. Naturalnie, że wobec t a k m o ż n e g o i w p ł y w o w e g o s t r o n n i c t w a rodzina Hoszczukow wpadła znowu w gorące opały. Procesa prowizoryczne przeciw niej toczą się z zaciętością, energią i pospiechem.

I znowu ta rodzina udaje się do Redakcyi *Strażnicy polskiej*, aby ta oddała sprawę pod sąd opinii publicznej. Redakcya *Strażnicy polskiej* nie waha się też ani chwili, aby spełnić swój obowiązek, nie licząc się z tem, jaki sobie znów zjedna liczny zastęp przeciwników. Wprawdzie Redakcya przygotowuje całą kronikę tego pieniactwa od początku, ale gdy czas płaci i czas traci, nie zaszkodzi tymczasowo przytoczyć chociaż jednego fakciku:

Na gruncie Hoszczuków zjawia się niedawno komisya magistratualna na żądanie pani Antoniny z B. M., która przed tą komisyą twierdzi i podaje do protokołu, że staw „Sobka" n i e i s t n i a ł, że został dopiero z r o b i o n y przez Hoszczuków w niedawnym czasie i ż e z a l e w a g r u n t a „K a s z t e l a n ó w k i" (położone co najmniej 40 stóp wyżej). Gdy panowie: komisarz i inżynier, przeznaczeni ze strony Prezydyum magistratu do zbadania tej sprawy, ośmielili się uczynić uwagę pani z B. M., iż przecież nietylko im, ale całemu miastu wiadomo, że ten staw istnieje od niepamiętnych czasów, o czem świadczą nawet znaki na murze młyna, oznaczające urzędowo prawidłowy stan wody, uwydatnione tam w języku niemieckim, a więc co najmniej przed erą autonomiczną przez ówczesne władze magistratualne jako p r a w o obowiązujące właściciela młyna i stawu, pani A. z B. M. oburzona tą uwagą, uczynioną przez inżyniera, zawołała:

— „Proszę pisać do protokołu, co ja dyktuję, gdyż w przeciwnym razie udam się natychmiast ze skargą do Namiestnictwa!"

Gdy znowu inżynier zapytał: „które grunta są zalane i zalewane bywają przez wodę stawu i gdzie się znajdują?" — pani A. z B. M. wskazała ręką na staw, twierdząc, że pod wodą stawu jej grunta się znajdują.

Pani A. z B. M. wprowadziła w błąd skargą swą Wysokie Namiestnictwo, żądając spuszczenia stawu dla osuszenia jej gruntów (których nigdzie na dolinie nie posiada, ale co najmniej o 40 stóp wyżej na pagórkach).

Wysokie Namiestnictwo rozporządziło energiczne zbadanie tej sprawy, gdyż w k i l k u n a s t u d n i a c h wpłynęło do Prezydyum magistratu około dziesięciu urgensów.

Rodzinie Hoszczuków grozi najzupełniejsza ruina i wywłaszczenie, bo jakkolwiek dotąd przez lat jedenaście wyroki Sądów były po ich stronie i dalej niezawodnie inaczej nie wypadną, to jednak zważywszy, że to pieniactwo potrwać może lata, a rodzina nie ma już środków do płacenia drogich adwokatów, kosztów sądowych i stempli, to cóż jej wreszcie pozostanie z tej spuścizny po ojcach? Gdzie oprócz licznej rodziny, Katarzyna i Jan Hoszczukowie schronią siwe głowy? Czy i oni mają prosić o szczególną łaskę i miłosierdzie, aby ich przyjęto na najmitów do młyna?

Zapytujemy więc Przewielebnej Matki, Prze-

Panom i lokajom literackim.

(*Z Przeglądu warszawsk.*)

Więc cóż?... więc wam się zdaje, że na tym świecie
Przyszłego jutra wisi mgła zgnilizny,
Która zadusi szlachetniejsze życie
I naszą łódkę stawi śród mielizny,
Heń! od słonecznych daleko przebłysków? —
Więc wam się zdaje, że ciężkie spowicie
Z owocu naszych serdecznych uścisków
Do paryasów, żądnych krwi i zysków?...

Może myślicie, że w wielkim „obłędzie",
Jaki zawładnął, podług was, sercami,
Na gruzach znowu wasz liktor zasiędzie
I zwyciężonym pogrozi rózgami!
Że wy odziani w bramowane togi,
Cisnąc przez tłum się w gorączkowym pędzie,
Tak go śród swojej nadepcecie drogi,
Aż nie zawoła: bogi idą! bogi!...

Może myślicie, że ziarno pszeniczne
Znów wyłuskniecie dla własnego stołu,
By nas za trudy darzyć tytaniczne
Garścią plew lichych i garścią popiołu;
Że świat zmienicie na swoje zwierzyńce,
A on wam słupy stawi niebotyczne
Tam, gdzie się ludne krzyżują gościńce
I będzie krzyczał: moi dobroczyńce!...

Może myślicie, że u bram świątnicy
Waszej Astarty, będą w znak się kładły
Chóry sióstr naszych i waszej źrenicy
Odsłonią łona, drżąc, jak kłos pobladły,
A wy pożądań obryzgawszy pianą
Nagą ich czystość pobożni cynicy
Rzucicie drachmę, łzą nieszczęsnych zlaną,
W cześć swemu bóstwu i swoim kapłanom?!

Więc cóż?... milczycie?... znam wasze milczenie!
Potajemnemi mnie szepty przeklniecie:
Dziś zachodzące waszych słońc promienie,
Co niegdyś krwawo błyskały po świecie,
Rozgłośnej pieśni ze statuy Memnona
Już nie wywabią. Zamarło wam tchnienie.
Zamarło życie śród zwiędłego łona,
I wasza lutnia kona... kona... kona..

Dawniej, to dawniej, ten wasz wieszcz zbolały,
Owiany czasów minionych pomrokiem,
Patrząc, jak łamią waszych gór się skały
Od błyskawicznych piorunów, potokiem
Łez z swego serca zalewał pożary —
I płakał — płakał — tonął we łzach cały,
Nad grobowiskiem tej sławy prastarej,
Która dziś poszła między sny i mary...

I była pieśń ta szelestem więdnących
Ziół na ściernisku spalonem; jesiennym
Jękiem tych wiatrów północnych, bijących
O szyby pustych kościołów; brzemiennych
Trzaskiem ołtarzy — bez ofiar i cześci;
Odbiciem zorzy wieczornej, gasnących
Gwiazd, meteorów, co ginąc bez wieści,
Pozostawiają tylko noc boleści.

I można było wtenczas schylić czoła
Przed tych serdecznych cierpień majestatem;
Przed tą postacią chorego anioła,
Który nie w świecie żyjąc, lecz za światem,
Chciał Chrystusowym do przeszłości krzyża
Przykuć go gwoździem, z wiarą apostoła
Lub mistycznego krzyżowca — rycerza
Czekając cudu, czy się cud nie zbliża.

Lecz z ołowianych chmur waszego nieba
Złociste dotąd nie spłynęły smugi,
Aby z grobowisk, gdy wam życia trzeba,
Wskrzesić stalowych mężów szereg długi —
Abyście młodzi na własnych mogiłach
Z tymi, co światła chcą i pragną chleba,
Mogli iść w boje z świeżą krwią w swych żyłach,
O własnej broni i o własnych siłach.

Więc do oficyn, między swe lokaje
Schodzicie słabi i z chłopskich bękartów
Przednią dla siebie hodujecie zgraję —
Wytresowanych jażwców, sforę chartów,
Że w zamian mięsa i chleba kawała
I że nikczemnej wolności im staje
Obwąchać ciepłe waszych kokot ciała,
Przyszczekiwują: chwała nocy! chwała!

Brr!... gardzę nimi — czyż wy nie gardzicie?
Może, gdy wielki duch dziejowej woli,
Na praw niezmiennych oparty granicie,
Za jednem „czas już" waszą skroń okoli
Zabijających ramion zimnym splotem,
Wy na tę smutną elegię: kończycie!
Nawet niezdolni z własnej dumy złotem
Żegnać swą dobę — padać pod tym grotem?!

Więc cóż?... te szepty... słyszę klątwę waszą.
Jacyś najmici, pozując na wieszcze,
Lecz wypasieni pańską, tłustą paszą,
W omdlewające popadają dreszcze...
Niech! Herostrata nie boję się znamion
I Chattertonów mnie losy nic straszą!
Wychowan w stajni, lecz służbą nie splamion,
Po waszą rękę nie wyciągnie ramion.

Jan Kasprowicz.

łożonej klasztoru św. Teresy: czy takie postępowanie zgodne jest z Przykazaniami Bożemi i konieczne — dla większej chwały Boskiej?

Jak się takie pieniactwo zgadza z zadaniem klasztoru św. Teresy, który spełnia wielkie uczynki miłosierdzia, wychowując opuszczone sieroty, i ucząc takowe moralności, jaką Bóg w pierwszym rzędzie nakazuje?

Ziemie polskie.

Wielki ciężar odpowiedzialności cięży na całej Polsce za opuszczony biedny Górny Szląsk, a tem samem za biedną milionową opuszczoną ludność polską tutejszą.

Przyjdzie czas, że cała Polska powstydzi się za to i uzna zarzut jej uczyniony za słuszny.

Jeżeli się zauważy, że ten biedny naród od wszystkich opuszczony nietylko narodowo lecz ekonomicznie i materyalnie wyzyskiwany i w sposób nieludzki traktowany, to serce każdego prawego Polaka krwawić się musi na wspomnienie takie.

Jeżeli się zauważy, że naród ten krwawo i w pocie czoła pracujący w kopalniach i hutach z codziennem narażeniem własnego życia, (gdzie co dzień kilka wypadków skaleczeń i śmierci) nie ma nawet wolności wyborów i musi wybierać niemca posła wbrew własnemu przekonaniu, (czego niema nawet w całej Europie,) to na takie wspomnienie serce każdego Polaka zgrozą przejąć się musi.

Jeżeli się zauważy, że naród górnoszląski na wskróś katolicki i polski ma przewodników księży niemców, (z małym wyjątkiem), którzy są dla narodowości polskiej najniebezpieczniejszymi, gdyż ze sposobów germanizowania Polaków najniebezpieczniejszą jest germanizacya przez katolicyzm, to na takie wspomnienie współczucie objawiać się powinno.

Jeżeli się zauważy dalej, że obecnie na Górnym Szląsku niema żadnej szlachty polskiej, która jest wielką podporą i pomocą oraz prawdziwym świecznikiem w podtrzymywaniu oświaty tak w Poznańskiem jako też w Galicyi (?!!) i tylko kilka osób dobrej woli zasłania piersiami swoimi lud tutejszy, płacąc tysiące kar i kosztów jako też i więzienie, podając mu zdrową oświatę narodową, to na takie wspomnienie niepodobieństwem zdawać się musi, aby wytrwać w walce przeciwko dwom prądom reakcyi.

Jeżeli się nareszcie zauważy, że redaktor „Post. Roln“. podejmował przez ubiegłe lata kilkaset podróży własnym kosztem w celach oświaty na Górnym Szląsku, zakładając „Kółka włościańskie“ i narodowe, i wydając założony przez siebie „Postęp Rolniczy“ bez żadnej subwencyi przez lat 10, podczas gdy w Ks. Pozn. i w Galicyi otrzymują subwencye na podobne cele po 800 i 1.000 tal. rocznie, to na takie wspomnienie przychodzi nam się zapytać, czy już niema żadnej opinii publicznej i sprawiedliwości.

Wiemy, że jest macierz polska; jakiż ona ma cel? komu udziela subwencye, kto stoi na czele tej instytucyi? Czyż Górny Szląsk i milionowa opuszczona ludność tutejsza nie stoi na najwięcej zagrożonym posterunku sprawy narodowej i najtrudniejszych pracy warunkach? Dziś jeżdżą niemcy po Górnym Szląsku i zakładają w polskich wioskach „kółka niemieckie“ rolnicze i na to cała Polska patrzy obojętnem okiem? Przyjdzie czas, że cała Polska zawstydzić się za to będzie musiała i wszyscy ci, którzy stoją na czele instytucyi, którzy przecież coś dla oświaty szląskiej zdziałać by mogli a nic nie robią. — Temi samemi słowy zakończamy: że wielki ciężar odpowiedzialności ciąży na całej Polsce za opuszczony Górny Szląsk.

Obecna gospodarka. W górnoszląskim obwodzie górniczym otrzymało znowu kilku „zbiegów rosyjsko-polskich“, jak ich urzędownie nazywają, marszruty. Wielu z nich już od 20 lat żyło spokojnie na Górnym Śląsku. Dla powiększenia nędzy tych biednych wydalonych wzbrania się rząd rosyjski przepuścić przez granicę ich żony i dzieci urodzone w Niemczech. Męża przeto odrywają od żony i dzieci dla tego jedynie, że przez lat dość wiele pracował spokojnie w obcem państwie.

Część w powiecie katowickim osiadłych rosyjskich poddanych, którym landratura wręczyła rozkaz opuszczenia kraju, wymyśliła oryginalny sposób do uniknięcia tego niebezpieczeństwa. Jak bowiem „Schles. Ztg.“ donosi, wszyscy naturalizowali się spiesznie w Austryi. Obecnie przeto zamieszkują na Śląsku nie już jako rosyjscy, lecz astryaccy poddani. Za przykładem tym mają pójść wszyscy zamieszkali na Sląsku rosyjscy poddani.“

Dekreta wydalające rosyjsko polskich poddanych z granic państwa pruskiego rozchodzą się po całym Śląsku, tak Górnym jak i Dolnym. I tak z Lignicy wydalają kilka osób, pomiędzy niemi rękawicznika, który tamże już od czternastu lat mieszka. Niemkę za żonę pojął, dzieci do szkoły miejskiej posyłał, który przez długi pobyt w niemieckiem otoczeniu już prawie zupełnie języka ojczystego apomniał, a przez dekret wydalający stały zarobek traci. Za osobną łaską zezwolili dla urządzenia stosunków majątkowych na pobyt jego do 1. listopada rb.

W Wielkich Strzelcach odebrało kilka rodzin, które nie postarały się zawczasu o naturalizacyą pruską, odnośne dekreta.

W ostatnich dniach spotkał ten los ośmnastu robotników i mniejszych przemysłowcow w hucie Laury. Między tymi odebrał rozkaz opuszczenia granic pruskich starzec przeszło 70-letni, Józef Liberski. Długie lata pracował on w tamtejszych kopalniach, przed dziesięciu laty okaleczał i jako inwalida pobiera do dzisiaj wsparcie z kasy knapszaftowej. *(Postęp rolniczy).*

Kto mistrzem? Rosyjski „Prawitielstwiennyj Wiestnik“ zawiera w jednym z ostatnich swych numerów następujące rozporządzenia:

„Uchwała komitetu ministrów najwyżej zatwierdzona dnia 27 sierpnia (8 września) r. b. stanowi: Zgodnie ze zwyczajem przyjętym przez ministrów dóbr państwa od roku 1864, aż do dalszego rozporządzenia rządu nie dopuszczać osób pochodzenia polskiego do dzierżawienia skarbowych arend dodatkowych (młynów, tartaków, karczem itp.) w guberniach zachodnich, nie rozciągając zresztą tego zakazu na włościan miejscowych, wyznających religię katolicką.“

Otóż nowe rozporządzenie rządu rosyjskiego, które jeżeli przez co staje się ciekawem, to też jest dosłowną kopią, niewolniczem naśladowaniem tego, co rząd pruski przy okupacyi naszej dzielnicy zarządzał i praktykował w końcu ubiegłego, w początku bieżącego stulecia. Pod dniem 19. grudnia 1796 r. wyszedł reskrypt, zakazujący donataryuszom, którym rząd liczne naówczas dobra w Prusach południowych ponadawał, sprzedawać takowe Polakom (Landeseingeborene des ehemaligen Pohlens.)

Reskrypt cyrkularny z dnia 14 lutego 1800 roku rozszerzał powyższe postanowienie i zakazywał nie tylko donataryuszom samym, ale nawet nabywcom dóbr donacyjnych w drugim i trzecim ręku przedawać je Polakom.

Reskrypt wreszcie z dnia 27 stycznia 1801 roku wydany do tak zwanych kamer południowo-pruskich zakazywał puszczać dobra donacyjne Polakom w dzierżawy wieczyste.

Widać ztąd, kto w rozporządzeniach, kto w praktykach tego rodzaju mistrzem a kto uczniem mistrza, jak z powyższych jego rozporządzeń widzimy, nie był tylko tyle względnym, ile uczeń dopuszczający przynajmniej „włościan katolickiego wyznania“ do wielkiego przywileju „zadzierżawienia młynow i tartaków.“

Niechajby jednakże ów pojętny uczeń słowiański teutońskiego mistrza nie posuwał swojej pojętności tak daleko, aby ją praktykować nie na obcym jakim, ale co gorsząca, na słowiańsko-polskim żywiole! *(Dziennik pozn.)*

Przed tygodniem lotem błyskawicy obiegła Warszawę wieść o kradzieży spełnionej w włocławskiej filii Banku Polskiego. Z ust do ust podawano sobie szczegóły i początkowa suma kilkudziesięciu tysięcy, rosła niemal do milionów, a sprawca jej już to był schwytany, to znowu przepadł bez śladu. Dla nas obojętną jest rzeczą wysokość skradzionej sumy, nas osobistość złodzieja i sam fakt jako znak czasu obchodzi.

Kto okradł kasę? Zapewne zwykły złoczyńca, którego do występku pchnął głód, chiwość lub nędza moralna?.. Nie, złodziejem jest człowiek pięćdziesięcioletni, urzędnik mający trzydzieści lat służby, który przeszedł wszystkie stopnie hierarhii urzędniczej i za zasługi, został wyniesionym na stanowisko dyrektora filii. To nie młodzik gołowąsy, głupi i niedoświadczony, bez wyrobienia, ale człowiek dojrzały, mąż i ojciec rodziny, szef biura, któremu winien być przykładem. Jeszcze w przeddzień wykrycia kradzieży szanowano go i byli niewątpliwie ludzie, którzyby głowę za jego prawość oddali, tymczasem już wówczas był on złodziejem.

Mimowoli pytamy, gdzie tego przyczyny?

Oglądamy się koło siebie i z przerażeniem widzimy, iż nie jest to fakt wyjątkowy, niebywały, a więc i przyczyny jego szersze muszą mieć znaczenie. W ostatnich paru miesiącach to czwarty wypadek. W ciechanowskiem odbiera sobie życie obywatel ziemski, skończony prawnik, powszechnie szanowany arbiter wszystkich sądów honorowych, radca towarzystwa kredytowego ziemskiego, i to odbiera sobie życie, aby uniknąć odpowiedzialności sądowej jako fałszerz, który lat kilka fałszował na wekslach podpisy swoich przyjaciół. W Busku doktór, człowiek bez obowiązków i bogaty, kradnie będąc u swego kolegi, rozbierającemu się pacyentowi czterysta rubli i przekonany o winie w łeb sobie strzela; a gdzieindziej, człowiek ogólnie znany, z wykształceniem, okrada cudzą, czy nawet swoją kochankę... Wszystko to jakby tak świeże, żeśmy zaledwie zdołali ochłonąć z pierwszego wrażenia.

Próżnoby ktoś dowodził, że między niemi nie ma łączności, i odmawiając im szerszego znaczenia łudziłby siebie a okłamywałby drugich. Do niedawna jeszcze szczyciliśmy się naszą prawością; do niedawna słysząc ciągle o kradzieżach, o zbrodniach w pokrewnym nam społeczeństwie, z dumą powtarzaliśmy, że u nas nic podobnego zdarzyć się nie powinno. Jeszcze przed paru laty, gdy kasę urzędników Banku Polskiego okradł człowiek, którego znała cała prawie Warszawa, wiceprezes z wyboru jednego z towarzystw, na wyścigi zapewnialiśmy innych i siebie że to wyjątek tylko i gotowi byliśmy przysiądz, że się podobny fakt nie powtórzy. Dalsze wypadki jednak zadały kłam temu, czyż więc i dziś dowodzić że „to wyjątki tylko“ i nie obejrzymy się w około i nie wnikniemy w siebie, szukając przyczyn? Czyż i dziś jak zwykle każemy oczom nie widzieć, a uszom stać się głuchemi?

Zapewne, zamilczeć byłoby dla nas rzeczą najwygodniejszą. Mało jest tak popularnych twierdzeń jak to że „brudną bieliznę w domu prać należy“ i mało której zasadzie równie skwapliwie hołdujemy. Mniejsza, że wskutek tego ludzie, którzy powinni byli stanąć pod pręgierzem opinii publicznej, cieszyli się szacunkiem ogółu; mniejsza, że nie piętnując należycie winnych, innym dodajemy odwagi iść w ich ślady. Lepiej niech mówią, że w brudnej bieliźnie chodzimy, niż publicznie obmywać brudy, których w domu zmyć niepodobna. Ten brak opinii połączony ze schlebianiem poczucia narodowej godności, to dopiero jedna z szeregu przyczyn, które łącząc się i splatając, tworzą łańcuch, ciągnący nas do upadku.

I czyż inaczej być może?

Od czasu, kiedy wyrzekliśmy się wszystkiego dla „pracy,“ kiedy dobrobyt zamiast być środkiem stał się dla nas celem, kiedy zwolna zaczęliśmy się wyzbywać wszystkich pragnień które na drodze dobrobytu mogły nam być ciężarem, odtąd zaczęło gasnąć poczucie godności osobistej i narodowej. I bezwiednie stanęliśmy w pogoni za dobrobytem na skraju przepaści moralnego upadku; czas jednak aby świadomość nam wróciła. *(Chwila)*

† **Antoni Zaleski**, głośny niegdyś ilustrator naszych poetów, najgłośniejszy jako twórca całego szeregu rycin do pamiętników J. Ch. Paska, zmarł 3. b. m. w Florencyi, gdzie bawił od lat kilkunastu. Biegły w technice artystycznej odznaczał się przedewszyskiem znakomitym humorem. To też pamiętnik Paska nabierał pod jego ołówkiem życia i tej typowej werwy, w której sławnemu pamiętnikarzowi nikt nie dorównał. Ilustracye dzieł Mickiewicza i Bohdana Zaleskiego również wysoko były cenione. Dziś należą do rzadkości.

W ostatnich latach ś. p. Zaleski pracował mało, a polska publiczność bardzo rzadko spotykała się z jego dziełami. *(Chwila).*

KRONIKA.

Z czyjej winy? Wynik z wyborów uzupełniających do Sejmu z okręgu Stanisławów-Bohorodczany, gdzie to z urny wyszedł zwycięzcą p. c. k. Starosta Strasser, a jego przeciwnik ks. Zakliński uzyskał tylko 13 głosów, zadziwić musiał wszystkich obywateli kraju, których wybory obchodzą. Tak łatwego zwycięstwa nie miał jeszcze żaden c. k. Starosta. A więc jakaż tego przyczyna? Odpowiedzi na nią nie potrzeba daleko szukać. Jestto wynik „borytelstwa“ Russkiej Rady, której kandydaci nie mają żadnego zaufania nietylko u warstw inteligentnych, ale tak samo u ludu. Nie można także powiedzieć, aby wyborcy nawet najniższych warstw społecznych byli tak zupełnie abojętni na to, kogo wybierać mają. Lecz trudno od nich żądać, jeżeli osobistość, z którą są w bezpośredniej i nieustającej styczności, i patrzą na nią codziennie od lat wielu, a nie ujrzeli w kandydacie ani jednej zalety, którą winien posiadać poseł na Sejm krajowy, zanim głosowali. Do popierania kandydatury ks. Zaklińskiego, utworzył się komitet składający się z szesnastu księży ruskich i ci zbiorowo zdobyli dla ks. Zaklińskiego 13 głosów, wyraźnie trzynaście. Powtarzamy zaś jeszcze raz, że ks Zakliński był kandydatem Russkiej Rady. Po tej miłej niespodziance powinna Rada Ruska zrozumieć i przyjść do przekonania, że dni jej w Galicyi są policzone; bo lud ruski odpychać będzie to borytelstwo coraz wyraźniej i z coraz większą odwagą. Gdyby na to miejsce postawiony był Rusin ze stronnictwa narodowego, wynik byłby zupełnie inny.

Wrzekomi artyści dramatyczni i członkowie koła literackiego. Nie dosyć mieć zdolności aktorskie, otrzymywać na scenie laury od osobistych przyjaciół, mieć pretensyę do nazwy artysty i być nawet członkiem koła literackiego. Do tych laurów potrzebnym jest jeszcze jeden warunek, aby tego rodzaju osobnik lub osobnicy posiadali jeszcze chociaż elementarne wychowanie i pojęcie o tem, że nawet takim laureatom nie wolno w ży-

społecznem w miejscach publicznych, do których zwy- uczęszczają przyzwoici i dobrze wychowani ludzie, po- iać się w stanie pijanym, wstrętnym, a tem mniej wy- wiać karczemnych prowokacyj i burd, jakich się puszczają takie wrzekome powagi sceniczne, jak pp. oj........ i Że........

Taką scenę wyprawili ci panowie przed kilku dnia- ; spiwszy się ku wieczorowi w jakimś szynku, przyszli jednej z pierwszorzędnych cukierni lwowskich na czar- kawę, gdzie w pokoju przeznaczonym na czytelnię i do lenia, siedziało kilka osób, zajętych czytaniem pism, lub chą pogawędką. Wrzekomi artyści wpadłszy z krzykiem hałasem jak do pierwszego lepszego szynku, w którym zwykły tylko szumowiny społeczne zbierać, usiłowali jakąbądź cenę wywołać burdę. Potrzeba było wiele erpliwości, i mieć wzgląd na miejscowość publiczną tak zyzwoitą, jak ta, w której się ta scena odbywała, aby e kazać tych panów stróżowi wyrzucić za drzwi, lub ja- upitych odprowadzić policjantowi na przymusowy no- ny spoczynek. Czy takie „siły“ przynoszą zaszczyt dyrek- yi sceny lwowskiej i kołu literackiemu, tego nie potrze- a objaśniać.

Radzilibyśmy jednak tym panom, aby w tych szyn- ach i zaułkach, w których się upijają, próbowali swego nimuszu, gdyż gdyby się to częściej powtarzać miało, nie ątpimy, że pp. właściciele publicznych lokali, do kto- ych wstęp mają tylko ludzie przyzwoici, zmuszeni by byli zeczywiście posiłkować się stróżami.

Przegląd tygodniowy warszawski o Mierz- wińskim. Występy Mierzwińskiego we Lwowie dały nowy dowód, że epoka niedorzecznych owacyj jeszcze nie minę- a, że niema, jak zawsze, miary w ocenieniu zasługi i w oddaniu hołdu. Lada iskra, lada zapałka, sprawi pożar, jak w słomianych głowach t. j., przepraszam, na słomianych dachach. Szły tym razem w zawody o lepsze Kasyno mie- szczańskie z tak zwanem narodowem, właściwie końskiem. Koło literackie z Towarzystwem gimnastycznem. Czemże bowiem jest Mierzwiński? — Znakomitym, europejskim, powiedzmy, „światowym“ śpiewakiem, o doskonałem gar- dle, o szerokiej klatce piersiowej! Zapewne. Talent wielki, który uznać należy, głos piękny, za który warto zapłacić parę guldenów wstępu do teatru. Ale cóż więcej? Jest-li obywatelem, który gotów przyjść, przynajmniej społeczeń- stwu swemu z pomocą bezinteresowną? Czy nie odmó- wił wszystkim prośbom w tym względzie, czyż nie za- śpiewał na raucie na cześć jego, a na korzyść wygnań- ców z Prus, prawie pod presyą, ledwie kilka piosenek? Czy nie dlatego unika teraz Krakowa, że porobił tam za ostatnim pobytem przyrzeczenia (swoim zwyczajem, jak obecnie we Lwowie) śpiewania na dobroczynne cele; a nie pojechał do Czerniowiec, gdzie miał wesprzeć upadające tam jedyne pismo polskie „Gazetę Polską“! Ale mniejsza z tem; toby było ładnie, szlachetnie, ale jako żądania te- go stawić nie można. Zarabia tak mało... parę tysięcy za wieczór... musi myśleć o starości, by nie popsuć głosu i nie zostać — jak się wyraził do pewnej deputacyi — dyurni- stą... Nie żądamy tego. Ale wolno nam przecież żądać, aby człowiek, któremu robimy owacye, przyjmował choć- by tylko te hołdy z uznaniem, aby nie zachowywał się „po huzarsku“ — jak słusznie się wyrażono — aby okazywał przynajmniej tyle inteligencyi, na ile zdobędzie się król dzikich (Mierzwiński jest także „królem“ tenorów) gdy go okrzykami witają poddani. Wolno nam żądać, by ci, któ- rzy owacye sprawiają, poczuwali się do tylu godności wła- snej, iżby nie pozwolili śpiewakowi pomiatać sobą i mó- wić co chwila impertynencye, lub absurdum, aby się przy- najmniej tem nie chlubiono, nie zajmowano powszechnie. Wolno nam żądać, aby nie stawiano go na piedestalu na- rodowych bohaterów, nie łączono z nim imienia świętych spraw, aby mu nie składali niedorzecznych hołdów pierwsi krajowi dygnitarze. A jednak to wszystko miało miejsce we Lwowie. Kwintesencyą przyjęcia była uczta w Kasynie końskiem, gdzie Skrzyński witał w pojawieniu się Mierz- wińskiego nadzieję lepszej przyszłości kraju, gdzie Starzeń- ski i Wolański wygłosili (prawda liche, nieudałe) rymy, w ktorych losy kraju połączyli z gardłem śpiewaka i po- dobno dobrego ich towarzysza przy zielonych stolikach... Tu już idyotyzm nawet tych klas przekroczył granicę. A usłużni reporterzy na wyścigi notują każde słowo półbożka śpiewu. Piszą artykuły olśniewające, pełne zachwytu, że od jednego ustępu zemdleć można. Chwalą go za to, że się dotąd nazywa Mierzwiński, że jest polakiem. Ba! to już chyba zasługa, na której tylko w Galicyi poznać się umie- ją. A jakże on to sam podnosi w „Sokole“, gdzie go przyj- mują entuzyastycznie: „Byłem polakiem, jestem polakiem, — byłem gimnastykiem, jestem gimnastykiem“. Trzeba było jeszcze dodać: „jestem tenorem... a wiecie co o tenorach mówią“. A niedaleko mu i do tego. Gdy na bankiecie Ko- ła, jeden z „poetów“ podnosił trudność dobrania rymu do „Mierzwiński“, tenże rzekł: „Wielka sztuka, Mierzwiński, nie jest tenor świński“. A mybyśmy tak koniecznie za- przeczenia nie kładli. *Przegląd tygod.*

Wykładów prawa handlowego i wekslowego, Dra Edmunda Burzyńskiego w szkole handlowej miej- skiej w r. 1885, wyszedł zeszyt pierwszy, nakładem i przygotowany do druku jako manuskrypt przez Mieczysława Wolańskiego.

Wydawnictwo to jest nader pożądanem, albowiem umożebnia nietylko słuchaczom w szkole handlowej miejskiej, ale w ogóle wszystkim, trudniącym się handlem, przemysłem i w innych zawodach, obznajomienie się z prawem handlowem. Bardzo cenne są wiadomości wstępne, objaśniające, co to jest prawo i skąd ono powstało.

Takich zeszytów wyjdzie w ogóle trzy, a cena pojedynczego 30 ct. Nabyć można w drukarni A. Wajdowiczowej, Rynek l. 9.

Przegląd literacko-artystyczny.

Wystawa dzieł sztuki śp. Grottgera. Wystawa jak powyższa należy nietylko we Lwowie i w Galicyi, ale w Europie, w największych stolicach krajów i narodów do wyjątkowych zdarzeń, które świat artystyczny zapisuje w swych kronikach, bo nic trudniejszego, jak zebrać dzieła zmarłego geniuszu, które stworzył przez ciąg całego żywota. A jakaż to większa trudność, jeżeli artysta należał do geniuszów znanych w całej ucywizowanej Europie.

Sp. Artur Grottger pozostawił po sobie tak świetną pamięć, żeby nam jej każdy naród mógł pozazdrościć. Grottger należy do tych gwiazd świetnych, które nietylko geniuszem przyczyniły się do chwały narodu, ale zawisły nad nim duchem swym, i wielką miłością świecą tej ziemi, która ich zrodziła. Czem Matejko jest dla sztuki polskiej jako malarz, tem był śp. Artur Grottger. Lecz i pomiędzy tymi dwoma mistrzami zachodzi jeszcze różnica w sposobie, z jakim się artysta żżywa ze społeczeństwem, do którego należy. Czy patrzy nań tylko z wysokości Parnasu świadom swej wielkości i żądający, aby przed nim bito czołem, lub też tryskając geniuszem, jako człowiek, nie chce się wywyższać po nad zwykły stryChulec, gdy nawet w codziennem życiu znajduje jedynie zadowolenie w łączności ze wszystkiemi warstwami społecznemi. W takiem znaczeniu, jeżeli pojmujemy żywot śp. Artura i uprzytomnimy go sobie, to był on nam i najserdeczniejszym druhem.

Nemezis zarychło nam go, bo w kwiecie wieku wyrwała, a żal serdeczny odbił się od morza do morza, nietylko w Polsce i na Rusi, ale nieomal w całej Słowiańszczyźnie.

Dziś przyjaciele ś. p. Artura zdobyli się zaledwie na kruchy znak, aby zaznaczyć jego ostatni spoczynek na ziemi, jego mogiłę. Ale nie wątpimy, że cały naród postawi kiedyś jeszcze pomnik wielkiemu nietylko artyście, ale i patryocie polskiemu!

Na wystawę lwowską ś. p. Grottgera, która tak gorąco przemawia do duszy każdego, kto ją odwiedza, przysyłali chętnie wszyscy te klejnoty, które się w ich ręku znajdowały. A do tego pośmiertnego uczczenia artysty przyczynił się przed wszystkimi Monarcha, który wysoko ceni zabytki, jakie po znakomitym artyście zostały. To się nie zawsze i nie każdemu artyście zdarza. Tem więcej musimy uczcić tę łaskę monarszą, gdy dzieła artysty przedstawiają jakby księgę męczeństwa naszego narodu, a oraz może i skutków tegoż, jakie się na szerszej arenie Europy odźwierciadlają.

Od konfederacyi barskiej aż do r. 1863 uplótł geniusz artysty wieniec, który stworzył jedną cierniową koronę, a jako ramy do niej służy „Padoł płaczu“. I ta to może najcenniejsza perła, która świeci całą potęgą artyzmu, jest własnością naszego Monarchy.

Czyniąc przegląd zebranych w gmachu sejmowym dzieł ś. p. Grottgera, nie znajdziesz tam ani jednej czczej myśli, którą nader często tworzy fantazya artysty. Z każdego obrazka przemawia zawsze jeden odłam ducha narodowego, czy to oświecony jaśniejszym i cieplejszym promykiem słońca, w wolniejszej chwili oddechu, lepszej nadziei przyszłości, — lub też ze strasznych dni zwątpienia.

Jeżeli zwykliśmy święcić jubileusze pamiątkowe, to za taki należy uważać wystawę po ś. p. Grottgerze, która się niezawodnie drugi raz nie powtórzy, a dzieła te tak zbiorowo nie staną przed oczami narodu.

Byłoby więc wielce do życzenia, aby ci, do których to należy, zwrócili uwagę szczególniej młodszego pokolenia na ten chwilowy panteon patryotycznego geniuszu, i prowadzili doń naszą młodzież obojga płci. Niestety — wystawa ś. p. Artura Grottgera nie budzi tej ciekawości i zapału, na jaki zasługuje. A cóżby za to dali nasi bracia za kordonami, gdyby się tak pojawiła w Warszawie lub Wilnie? Tamby niezawodnie pielgrzymowały tysiączne masy, jakby dla uczczenia świętych relikwij. U nas w Galicyi niestety nie ma już tego zapału; krew coś stygnie i obojętnieje na to, co wielkie i szlachetne.

Dla obecnych pokoleń, starszego i młodszego, potrzeba innych narkotyków, innej ponęty.

Kończąc na tem zwróceniu uwagi na doniosłość wystawy, o której mówimy, nie wolno nam tego pominąć, aby nie podziękować panu Marszałkowi krajowemu, Dr. Zyblikiewiczowi za gotowość i gościnność szlachetną, z jaką przyjął wystawę ś. p. Artura Grottgera w gmachu sejmowym, a tem samem nie dopuścił, aby się poniewierała w jakiej najętej sali; a sam wstęp na wystawę tak świetnie ozdobiony dowodzi, że są jeszcze ludzie i obywatele, którzy umią oddać cześć pośmiertną wielkim naszym geniuszom.

TEATR.

W pierwszym Nrze odrodzonej *Strażnicy polskiej* pod rubryką „Teatr“ umieściliśmy obszerny pogląd, uważając za właściwe wziąć w obronę dyrekcyę przed wymaganiami tej publiczności, która we Lwowie żąda równocześnie komedyi, dramatu, operetki i opery. Żądania zaś nasze ograniczyły się na komedyi i dramacie, czyli głównym celu naszej sceny narodowej i na wykształceniu powolnem własnej opery narodowej. O ile się jednakowoż przekonujemy, musimy nareszcie uwierzyć tym głosom, które twierdzą, że dyrekcyi teatru skarbkowskiego recte p. Janowi Dobrzańskiemu nie zależy bynajmniej na tem, aby scena nasza nosiła charakter narodowy i miała prawo tak się nazywać, gdyż dyrekcya, która wzięła scenę naszą w arendę, nie uważa takowej inaczej, jak tylko przedsiębiorstwo, obliczone na zyski materyalne, przy pomocy wszelkich kosmopolitycznych środków i sztuczek komedyanckich. I dziwna rzecz, panowie recenzenci teatralni, który po za oczami dyrekcyi i po za doniosłością słuchu tejże wywodzą przy czarnej kawie lub przy kufelku te same rekryminacye, nie mają na tyle odwagi cywilnej, aby zabierać głos przy każdej sposobności w imieniu tych warstw społecznych, dla których „scena narodowa“ — nie jest czczym frazesem. Że tam któremuś recenzentowi może na tem wiele zależeć, aby nie utracił „freiówki“, to być może; ale nie ośmielilibyśmy się podejrzywać o coś podobnego wszystkich recenzentów.

Takie myśli nastręczyło nam przedstawienie jak afisz opiewa „dramatu w 5 aktach a sześciu odsłonach, podług powieści Henryka Sienkiewicza, napisanego przez p. Benedykta Pobóga, pod tytułem „Ogniem i mieczem“.

Nie powiemy nic nowego, a tem mniej pierwsi, że przeróbki chociażby najznakomitszych powieści na dzieła sceniczne, rzadko kiedy wypadają chociażby tylko zadowalniająco. Autorowie takich sztuk teatralnych mają tylko dwa punkta wyjścia: jeden zasadza się na umiejętnych wyciągach monologów i dyalogów, wziętych żywcem z pierwowzoru, z jak najtroskliwszem zastósowaniem sceneryi i podziałów tejże na obrazy i akty. Jeżeli taki wrzekomy autor ma bystry pogląd, znajomość sceny i umie skorzystać z cennego materyału, jaki mu daje oryginalna powieść, to aczkolwiek nie dadzą się wyminąć wszelkie mielizny i rafy, ukleić może bardzo przyzwoitą całość.

Inaczej się rzecz ma, jeżeli zachciało się autorowi zestawić obrazy czy dramat, posiłkując się tylko treścią powieści takiej n. p., jak „Ogniem i mieczem“ Henryka Sienkiewicza, z pretensyą napisania nowego dzieła scenicznego. Otóż i taki eksperyment mógłby się udać, jeżeli treść powieści sama przedstawia bardzo ciekawy materyał, ale niedołężnie i nieumiejetnie opracowany; a autor, który zamyślał na tem samem tle stworzyć dramat, czyli w ogóle jakie dzieło sceniczne, włada daleko znakomiciej piórem, aniżeli autor powieści.

Jeżeli jednak ktoś tego warunku ostatniego nie ma, a na domiar porywa się na poprawienie znakomicie przeprowadzonych scen dramatycznych w pierwowzorze powieści, fabrykowanie nowych epizodów, ten doduszcza się co najmniej grzechów, które się niczem usprawiedliwić nie dają, i mimowoli nasuwa na myśl przysłowie: „gdzie konia kują,...........“

P. Benedykt Pobóg, autor dramatu podług podług powieści Henryka Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“, musi to niezawodnie być człowiek jeszcze bardzo młody, jeżeli się odważył napisać „podług powieści“, czyli jak Niemiec mówi: „frei bearbeitet“. Gdyby powieść ta była napisana chociaż kilkanaście lat wstecz i nie uprzytomniała się czytelnikom w tak żywej pamięci, jak „Ogniem i mieczem“, którą chętni czytania i ciekawi pochłaniają jeszcze formalnie, poświęcają jej bezsenne noce, to chociaż zanadto rażące usterki, nie byłyby może tak widoczne. Tymczasem rozczarowanie, jakiego publiczność doznała zaraz na pierwszem przedstawieniu, pomimo dziwnie łagodnej krytyki naszych reporterów teatralnych, spowodowało, że na drugiem przedstawieniu, o ile pierwsze było przepełnione, świecił amfiteatr pustkami. Pierwsze przedstawienie dowiodło, że publiczności lwowskiej nie wolno zarzucać, aby była obojętną na dzieła sztuki, noszące charakter historyczno-narodowy. Jesteśmy przekonani, że gdyby dołożyła starań, aby sztuki tego rodzaju chociaż nawet dosyć słabo napisane, ale wystawione podług wymogów scenicznych, nie upadałyby one, lecz byłyby grane z dobrem powodzeniem nawet dla kasy teatralnej.

Ale wystawienie obecne „Ogniem i mieczem“, — upoważnia nas wprost do podejrzenia, że dyrek-

cyi teatru, recte p. Janowi Dobrzańskiemu nie tylko nie zależy, aby sztuki o charakterze narodowym utrzymały się na scenie i były dobrze przez publiczność przyjmowane, lecz przeciwnie, bo p. Jan Dobrzański, znając wyrobiony smak i wymogi wykształceńszej publiczności, wie bardzo dobrze o tem, że jeżeli sztukom tego rodzaju nada charakter: — „szopek“, — które zaledwie najwyższe regiony amfiteatru zadowolnić mogą, a i te zawsze, jeżeli na najwyższą galeryę zmuszeni są uczęszczać biedacy ale wykształceni, — to środeczek ten praktykowany konsekwentnie, wystarczy, aby wszelkie dzieła sceniczne o charakterze narodowym, dziejowym, wyrzucić po prostu z repertoaru i ośmieszyć takowe. — Czy tak p. Jan Dobrzański nie postępuje, niech mu na to odpowie jego własne, chociaż bardzo szerokie sumienie.

Inscenowanie dramatu „Ogniem i mieczem“, aczkolwiek jak to już wyżej powiedzieliśmy, nader słabego fabrykatu piśmienniczego, jeszcze mogło być uratowane, gdyby dyrekcya teatru posiadała chociaż cokolwiek ambicyi, na jaką się sadzi przy przedstawieniach nawet tłumaczonych komedyj i fars, nie mówiąc już o wysileniach optycznych na przedstawienie tłustych operetek. W takich wypadkach chełpi się formalnie swoją ofiarnością i poświęceniem dla sceny narodowej. Natomiast przedstawienie historyczno narodowe świeci wstrętnem sknerstwem robigrosza i najskrajniejszem lekceważeniem. Wtenczas wyciąga się obszarpane, brudne dekoracye, a jeżeli lepsze, to nie mające nic wspólnego z charakterem i epoką dziejową sztuki. Tak samo wyglądają akcessorya, czyli rekwizyta sceniczne. Nic to nie przeszkadza p. reżyserowi postawić n. p. krzesła i kanapkę, która się zachowała z czasów, gdy grywano „Jowialskiego“ Fredry, a widz ma odnieść wrażenie z czasów Jana Kazimierza. Siedziba koszowego, a chata w jarze ukraińskim, to także wszystko jedno, a dla zmiany wystarczy powiesić kilka szmat brudnych, mających wyobrażać kobierce. Od reżysera mielibyśmy i tego prawo wymagać, aby wiedział o tem, że ikonostasy na Ukrainie oświecone lampami lub świecami, nie zawieszają się na pierwszej lepszej ścianie, lecz w narożnikach izb, i t. d.

W takim dramacie jak „Ogniem i mieczem“ niezbędnem jest, aby statyści, którzy mają przedstawiać atamanów, deputacye kozaków, szlachtę, żołnierzy polskich, kozaków, chłopów, tatarów, użyci byli w odpowiedniej ilości, aby jak autor żąda, przedstawiały się rzeczywiście tłumy, a nie jednostki, które, jak to się praktykuje przy ćwiczeniach wojskowych, gdy jeden lub kilku żołnierzy wyobrażają bataliony i pułki. Taka homeopatya usprawiedliwioną bywa w prowincyonalnych wędrujących towarzystwach dramatycznych, występujących w budach i stajniach, ale nie na takiej scenie jak skarbkowska.

A teraz spojrzmy na ukostiumowanie i ucharakteryzowanie tych wrzekomych tłumów: — A toć to rzeczywiście parodya nad parodyami, szopka nad szopkami. Cóżby nareszcie powiedzieć o obuczeniu czy też wytresowaniu tych statystów, którzy jak bałwany wychodzą na widownię i nie wiedzą co robić, jak się ruszać i kiedy opuszczać scenę. Ale jaki pan, taki i kram“, — jaki dyrektor, taki i reżyser, któ ry wobec takich przedstawień i takiego lekceważenia publiczności, nie żenuje się umieszczać na afiszu: „reżyser p. Apollo Lubicz“. Ten pan reżyser albo nie ma najmniejszego pojęcia o inscenowaniu takich sztuk dziejowych, lub też działa rozmyślnie, idąc na rękę swemu dyrektorowi, aby raz na zawsze uniemożebnić wszelkie przedstawienia o charakterze dziejowo-narodowym.

Ale dosyć na tem; przejdźmy teraz do gry prawdziwych i wrzekomych artystów, a tu miała publiczność znowu dostateczne dowody przed oczami, że wszechwładztwo dyrekcyjne i zakulisowe wpływy lekceważą publiczność, dla protekcyi umiejących nadskakiwać i łasić się Benjaminków. Mniejsza o to, jak tam sztuka wypadnie, czy ta lub owa rola oddaną jest we właściwe ręce, lub przeciwnie, czy wrzekoma artystka umie przynajmniej wymawiać wyrazy, lub też posiłkuje się wysłowieniem trzechletniego dzieciaka, to jest obojętnem dla dyrekcyi, bo „Altessa“ tak chce i tak być musi, a p. dyrektor nie ma czasu na takie bagatelki, bo on musi znowu udawać wielkiego polityka i patryotę, on musi prezydować w sali ratuszowej i na różnych bankietach.

Że nawet taki fabrykat jak pana Benedykta Poboga mógł chociaż cokolwiek zadowolnić publiczność, złożyła tego świetny znowu dowód nasza nieoceniona i rzeczywiście znakomita weteranka dramatu polskiego, pani Aszpergerowa, w roli księżnej Kurcewiczowej. Jej rola była mało co lepiej od innych naszkicowana, a jednak wypadła świetnie i dała publiczności taką księżnę Kurcewiczową, żeby jej się nawet Henryk Sienkiewicz nie wyparł. Obok niej stawiamy na pierwszem miejscu p. Woleńskiego, który jako Jan Skrzetuski, ten prawdziwy idealny charakter rycerza polskiego i ówczesnego patryoty, grał w stylu poprawnym, dobrze obmyślanym i pojętym. A nie było to łatwe zadanie; w przekonaniu naszem żaden inny artysta sceny lwowskiej nie mógłby go zastąpić. Szczególniej scena w 5-tym akcie, gdy Skrzetuski staje przed królem, wywarła na publiczności głębokie wrażenie, i gdyby p. Woleński był dołożył więcej starania w przedstawieniu jeszcze więcej realnem przebytej przeprawy przez moczary, jak powieść opiewa, scena ta zyskałaby jeszcze więcej na potędze. Przed kilku laty czuć się jeszcze dawała w p. Woleńskim czasami szablonowa dykcya, którą mu zarzucano; p. W. nie czuł się jednak obrażonym i zaczął na seryo pracować, to też dziś oddamy mu tylko słuszność, jeżeli mu powiemy, iż jest artystą. Ale taka to już nasza natura, że i tym razem mamy mu jeszcze maleńką uwagę do zrobienia. Oto raził nas jego nieposzlakowanej białości wyłożony kołnierzyk tego rodzaju, który rycerzom z czasów Jana Kazimierza nie był znany. Kołnierzyk do tego stroju, w jakim był ubrany Skrzetuski, jest zupełnie zbyteczny; a artysta, jak p. Woleński, powinien i na to uważać.

P. Woleński powinien się zdobyć na odwagę i bądź co bądź wywalczyć sobie na przyszłość w garderobie jakąś odpowiedniejszą zbroję hussarską i misiurkę, gdyż tekturowe ublachowanie nie przystoi pierwszorzędnemu artyście.

P. Zboiński nie występował na pierwszem przedstawieniu w roli Chmielnickiego — z powodu jakiejś niedyspozycyi. — Zastępował go p. Hierowski, a dziwimy się, dlaczego zastępstwo to nie oddane było p. Narkiewiczowi, który, jak zapewne i dyrekcyi było wiadomem, w towarzystwie p. Lasockiego przedstawiał wcale dobrego Chmielnickiego. Jako ataman koszowy był p. Narkiewicz również nie złym, chociaż reżyserya nie dostarczyła mu odpowiedniego kostjumu. P. Zboiński na drugim przedstawieniu jako Chmielnicki był wcale nie złym i mniej więcej zadowolnił publiczność, lecz widocznie brak mu było tej wewnętrznej dyspozycyi do gry, do jakiej nawykliśmy, gdy chce grać, jak n. p. w „Dyonizie“.

Już to wybornym Tuhaj Bejem, jakby żywcem wziętym z owych czasów, był p. Skalski i zrobił wszystko z siebie, co tylko z tak słabo naszkicowanego charakteru zrobić było można.

Kto tylko czytał powieść ,,Ogniem i mieczem“, ciekawy był ujrzeć Bohuna, tego palącego się żarem wewnętrznym kozaka, wychowańca Siczy prawie od dziecka, a który umiał się wznieść, jakby pan udzielny do czczonego bohatera. Otóż tego Bohuna grał p. Żelazowski, i po raz pierwszy zaznaczamy, że grał inaczej, aniżeli wszelkie inne dotąd charaktery dramatyczne. Nie możemy powiedzieć wprawdzie, aby rola ta wypadła świetnie w granicach odpowiedniej siły i ognia, niezbędnego Bohunowi, — ale całość zadowolniła i wychodziła poza ramy szablonu, który jakmam się zdawało przedtem, p. Ż. raz na zawsze umiłował i uważał za szczyt swej doskonałości artystycznej.

W tej chwili znajdujemy się w przykrem nader położeniu, bo mamy mówić o artyście, którego nawykliśmy już nie od dziś wysoko cenić tak pod względem wykształcenia, jakoteż i sumienności artystycznej. Wprawdzie i dziś mu jej nie możemy odmówić, ale artysta nas zadziwił formalnie, gdyż nie umielibyśmy sobie nawet wyobrazić, że rola, którą przyjął na siebie, czyli charakter tejże, tak mało będzie przez niego zrozumianym. Mówimy tu o p. Kwiecińskim, który przedstawiał Michała Wołodyjowskiego. Rola ta jest dziwnie wdzięczna, ale co prawda, tak słabo nakreślona przez p. Poboga, że język Wołodyjowskiego na scenie niczem nie przypominał języka z powieści, nacechowanego zupełną odrębnością charakteru tego rycerza bohatera. To powinnoby usprawiedliwić p. Kwiecińskiego, że zamiast Michała Wołodyjowskiego przedstawił tylko bardzo „grzecznego officiera“ z czasów Jana Kazimierza i bardzo młodego, coś tak jakby jakiego paniczyka, nieprzymierzyjąc secunde lieutenanta, który w tym stopniu spełnia obowiązki adjutanta sztabowego. W takim zakresie charakteru gra p. Kwiecińskiego była dobra; ale nie możemy przypuścić, aby p. Kwieciński nie czytał powieści Sieńkiewicza, a tem mniej, aby mu się postać Wołodyjowskiego nie uprzytomniła, którą autor formalnie wycyzelował. Jeżeli więc tekst roli był bardzo słaby, to winien był p. K. charakter ten uzupełnić zewnętrznie. Tymczasem nawet w bardzo ładnem ukostjumowaniu się, przedstawiał tylko porucznika z czasów Władysława IV. i Jana Kazimierza, a nie Wołodyjowskiego, pułkownika. Tak samo ani dykcya, ani charakterystyka twarzy nie zostały wyzyskane. Brak było nawet tych wąsików w górę postawionych, które we wrażeniach p. Michała nieustannie występują na pierwszy plan. Słowem p. Kwieciński wystąpił po formie porucznikowskiej ówczesnej epoki, lecz oprócz imienia i nazwiska Michała Wołodyjowskiego, nic ze sobą na scenę nie przyniósł. Postać Wołodyjowskiego pomimo „ogłady kawalerskiej“ dobrze wychowanego rycerza, któremu najwyższe nawet progi nie były obce, tak jak ją Sieńkiewicz przedstawił, nacechowaną jest pewną dozą humoru komicznego, który właśnie charakterystykę tego rycerza stanowi. Natomiast pułkownik p. Kwiecińskiego przedstawiał się mężnym, ale wyłącznie w stylu salonowym.

Zagłoba, rozweselająca humor osobistość w powieści Sieńkiewicza, przypadła w udziale na scenie p. Wojdałowiczowi. Nie wyszła jednak po za ramy lekkich konturów i wypadła tylko miernie Ha! — gdyby to tak był żył jeszcze ś. p. „Ziomek“, Seweryn Zamojski, on jeden byłby nam dał Zagłobę, jak to mówią „wypisz, wymaluj“. Nawet pod względem ukostjumowania nie umiał sobie p. Wojdałowicz radzić, gdyż czerwony żupan i piaskowy kontusz znacznie późniejszego kroju, jeszcze nie wystarczają. Nasi zaś pp. artyści nie starają się o to, aby charakterystycznymi dodatkami stworzyć harmonijną całość. Możeby nam p. Wojdałowicz powiedział, który okulista wykonał na jego Zagłobie taką operacyę, że ten wybornie na obydwa oczy patrzał.

P. Frenkel pod względem wzrostu wybornie odpowiadał na Longina Podbipiętę. Szkoda tylko, że nie miał sposobności przeczytać powieści Sienkiewicza, gdyż tam p. Longinus z najdrobniejszymi szczegółami narysowany. Charakter ten należało dobrze przestudyować. Samo zacięcie litewskie śpiewające nie uwydatnia tego charakteru, gdy mu brak nawet zewnętrznych, postaciowych szczegółów, już wprost błędnie użytych w charakteryzacyi. Dlaczego się zdawało p. Frenklowi, że Podbipięta ma rude wąsy, gdyż przeciwnie, jak go maluje Sienkiewicz, wąsy te były płowe, obwisłe na dół, takież brwi i taka długa wąska hiszpanka, a twarz dosyć żółtawo-blada. Słynnego miecza „Zerwikaptura“ nie nosił zapewne ów rycerz zawsze gołego, lecz w odpowiedniej pochwie i na odpowiednim furdemencie. Tak jak to p. Frenkel praktykował, może się tego rodzaju „zerwikaptur“ przedstawiać w jakiej operetce komicznej, ale nie w dramacie, bo tu nawet komika ma inne warunki zupełnie.

Dobry był natomiast Rzędzian, ten zuchowaty i poczciwy wisus, a pachołek p. Skrzetuskiego. Rólka ta jakby stworzoną była dla p. Wysockiego. Sumienny był również jak zawsze p. Dębicki jako Anton Tatarczuk, ataman, ucharakteryzowany z doświadczoną dokładnością. Pp. Taborski i Kasprowicz, jako synowie Kurcewiczowej byli bladzi, sztywni i jakby bez wszelkiej praktyki scenicznej. No, ale to się jeszcze jakoś znajdzie.

P. Ruszkowski dowiódł, że nie tylko komika salonowa lub farsa jest jego areną. Król Jan Kazimierz, jaki wyszedł z pod jego kreacyi, przedstawiony był szlachetnie i z odpowiednią siłą.

Z ról męskich pozostaje nam jeszcze jedna; a chociaż drugorzędna, w tym dramacie jednakowoż postać Ossolińskiego, kanclerza, stanąć może śmiało obok Kurcewiczowej i Jana Skrzetuskiego. Rolę tę oddano p. Szobertowi, który dowiódł, co może prawdziwie uzdolniony i sumienny artysta nawet z tak małej rolki zrobić. Ossoliński p. Szoberta, to kreacya w wyższem pojęciu pod względem dykcyi, szlachetnych ruchów i zewnętrznej charakterystyki. P. Szobert mógłby z takim Ossolińskim w pierwszorzędnej roli, na każdej, nawet największej scenie wystąpić. A jednak, pomimo nawoływań dyrekcyi i próźb, ten wysoce uzdolniony artysta, spychany jest zawsze na drugo- i trzeciorzędny plan, a nowicyat jego trwa za zbyt długo. Jeszcze więc raz zapytujemy, czy to jest uczciwie i sumiennie ze strony dyrekcyi, jakoteż reżyseryi, czy się godzi w ten sposób poniewierać i zniechęcać wykształconego wszechstronnie adepta sztuki dramatycznej? — O pana Szoberta nie przestaniemy się upominać, aby mu wymierzoną była sprawiedliwość i nie był krzywdzony.

Na zakończenie pozostaje nam jeszcze pani Żelazowska i pna Solecka. Pierwsza w roli Heleny, bratanki Kurcewiczowej. Tu już nie wiemy, kto był odważniejszy, lub nad miarę śmielszy: czy dyrekcya i reżyserya, że rolę tę oddała pani Żelazowskiej, czy też pani Żelazowska, której się zdaje, że jest rzeczywiście stworzoną i uzdolnioną do pierwszorzędnych ról na scenie lwowskiej. Chcąc mieć takie wygórowane pretensye, potrzeba mieć przedewszystkiem głos i wymowę dźwięczną, piersiową, a nie posiłkować się jakby jaką maszynką, wprawioną w gardło, która w najwięcej dramatycznych scenach krzyczy niezwykłym ludzkim głosem i wprost niemile oddziaływającym na ucho. Takie wysilenia są zanadto trudne dla p. Żelazowskiej. Dziwnie się też przedstawiała artystka w białej sukience, zacząwszy od jaru Bohuna na Ukraninie, aż do zamku w Toporowie. Szczególna to musiała być materya, którą przez tak długi czas nawet prać nie było potrzeba, nosząc ją nieustannie. Ale prawda — amfiteatr nie był zapełniony, więc można było ostatecznie i w spodniczce wystąpić dla oszczędności.

Najciekawszy jednakowoż ze wszystkich był występ panny Soleckiej, która widocznie za jakąbądź cenę postanowiła utrzymać się na scenie lwowskiej. Stałość taka w przedsięwzięciach jest chwalebną, lecz artystka powinna przynajmniej o tem wiedzieć, że chcąc chociażby tylko recytować role na scenie, należy przynajmniej nauczyć się wprzód wymawiać spółgłosek, a szczególniej **k**, **r**, i kilku in

ych, aby w ustępach wysoce dramatycznych nie mó-
wić: „widzę tłew i tłupy“ zamiast „krew i
trupy“. Niech się pna Solecka nie dziwi, że taką dyk-
cyą wprawiła publiczność w homeryczny śmiech, za-
miast pobudzić ją do oklasków. Ale rzeczywiście co
u winna panna Solecka, poco ją zaczepiamy, jeżeli
dyrekcya i reżyserya nie uważały za potrzebne, gdy
ją już koniecznie potrzeba na scenie lwowskiej za-
trzymać, aby zwołać ankietę lekarską i poddać język
panny Soleckiej operacyi chirurgicznej.

Na bok jednak z żartami. Rola Horpyny jest
tego rodzaju, że do niej potrzeba troszkę lepszych
sił, a nawet pierwszorzędnych artystek. Horpyną mo-
głaby była podnieść ten dramat pani Nowakowska, a
w zastępstwie jej pani Gostyńska. Oddanie tej roli
przez dyrekcyę pannie Soleckiej, jest tylko jeszcze
jednym dowodem więcej, aby publiczność raz na za-
wsze odzwyczaić od sztuk historyczno narodowych.

To cośmy wypowiedzieli, nie jest tylko naszem
osobistem zdaniem, ale głosem licznej, wykształconej
publiczności. *J. N. z Oleksowa Gniewosz.*

Ruski narodowy teatr pod dyrekcyą pp.
Biberowicza i Hryniewieckiego, przy-
był jak zwykle na jesień do Lwowa i od dwóch ty-
godni daje przedstawienia w domu Narodnym. To-
warzystwo całe skompletowane lepiej jak po inne lata.
Zaznacza się przedewszystkiem większa jadnolitość w
grze, a postęp w pracy nawet u starszych artystów
nie ustaje, lecz widocznie dąży naprzód Kto zna
wszelkie trudnosci, z jakiemi dyrekcya towarzystwa
koczującego ma do walczenia, ten musi tu pp. Bibe-
rowiczowi i Hryniewieckiemu złożyć uznanie, że ro-
bią wszystko, co tylko jest w ich mocy, aby teatr
narodowy ruski odpowiadał na się przyjętemu zadaniu.
My zwracamy największą uwagę na przedstawienia
w duchu ludowym: otóż w tym kierunku towarzystwo
coraz więcej pracuje i strzeże się karykatur i try-
wialności, na czem sztuki ludowe wiele zyskują.

Coroczny pobyt towarzystwa tego we Lwowie
jest rodzajem popisu z całorocznej pracy i postępu.
Z kilku przedstawień, na których byliśmy obecni, wy-
szliśmy z zupełnem zadowoleniem. A nawet w pe-
wnym dziale, tj. tańcach ruskich, zaimponowali nam
pp. Podlaszecki i Hulewicz. Zręczność ich i elegan-
cya w tańcu dawałaby im prawo występowania nawet
na pierwszorzędnych scenach. Spiewy w solach i chó-
rach także są więcej zaokrąglone i harmonijne, jak
w latach przeszłych. Słowem, towarzystwo dramaty-
czne, które się w takich warunkach kształci, zasłu-
guje na uznanie i poparcie, mianowicie u patryoty-
cznego społeczeństwa ruskiego. Ale co tu gadać, gdy
właśnie inteligencya ruska we Lwowie świeci na
przedstawieniach najwięcej swoją nieobecnością. Wy-
magania zaś, czego żądają od artystów i rodzaj oce-
ny, jaką można słyszeć w międzyaktach, są tak wy-
górowane, że zasługują jeżeli już nie na śmieszność,
to przynajmniej na ubolewanie. Popierajcie panowie
patryoci ruscy wasz teatr narodowy, niechaj nietylko
galerya i ostatnie miejsca będą zapełnione, a wten-
czas można stawiać i większe żądania. Cóżby to było,
gdyby n. p. teatr ruski narodowy bawił przez cały
rok we Lwowie wobec takiego patryotycznego poczu-
cia? Wtenczas zacząwszy od pp. dyrektorów aż do
ostatniego artysty, utrzymywałoby się tylko w ten
sposób towarzystwo, gdyby im ktoś wyrobił bilety do
taniej kuchni, albo na centową herbatę przy ulicy
Sobieskiego. Patryotyzm w ustach, to jest rzecz bar-
dzo ładna i tania; tem się zwykle szafuje szczodrze
i na każdem miejscu. My jednak tego rodzaju pa-
tryotyczne poczucie zapisujemy pod rubrykę — blagi.

Na cześć konsekracyi ks. Biskupa Pełesza
dane będzie uroczyste przedstawienie w Niedzielę d.
1. Listopada. Rozpocznie kantata, ułożona przez Ana-
tola Wachnianina, a potem **Fed'ko Ostrogski**, histo-
ryczny dramat w 5ciu aktach ze śpiewami E. Ogo-
nowskiego, muzyka M. Werbickiego. Kostjumy zastó-
sowane do epoki dziejów.

Handel i przemysł.

Znana w całym kraju i zagranicą firma han-
dlu nasion we Lwowie przy placu Maryackim Teofila
Łuckiego, która jak powszechnie wiadomo zyskała so-
bie najpowszechniejsze uznanie, a tem samem i dobre
powodzenie, ku niemałemu zdziwieniu skład ten nasion
został zwinięty i handel zamknięty. Był to rodzaj za-
gadki dla wielu życzliwych klientów tej firmy a te-
raz dopiero wyjaśniony.

Oto p. Teofil Łucki otwierając swój skład na-
sion przed laty kilkunastu, należał do tych przemy-
słowców kupców, którzy jeżeli cośkolwiek rozpoczyna-
ją, zwykli opierać się nietylko na rzetelności, ale na
gruntownem doświadczeniu i znajomości przedmiotu.
Gdy zaś p. Łucki posiadał i odpowiednie kapitały do
rozwinięcia swego handlu, nie dziw, że zyskał zaufa-
nie, które się z każdym rokiem powiększało.

Przed kilku laty nabył wieś Mełnę, w powiecie
Rohatyńskim, gdzie jak się przekonał, posiada gleba
wszelkie warunki do uprawy nasion bardzo wielu ro-
ślin, wchodzących w zakres tego rodzaju handlu. W
tych kilku latach poczynił p. Ł. wszystko, czego wy-
maga tego rodzaju kultura. Zajął znaczne przestrze-
nie pod uprawę wszelkich roślin gospodarskich i na-
sion, jarzyn, kwiatów, roślin pastewnych i przemysło-
wych, drzew leśnych i krzewów; a gdy praca ta do-
świadczalna i nowy rodzaj gospodarki na obszerną
stopę okazał się odpowiedni celowi, jaki sobie p. Łuc-
ki założył, zwinął następnie handel we Lwowie i prze-
niósł go w zupełności do Mełny.

Myśl tę naszego dzielnego obywatela przemysłow-
ca witamy z wszelkiem uznaniem, gdyż pod takim
kierownikiem i wykonawcą odda ona jak najlepsze
usługi przemysłowej gospodarce krajowej i będzie wska-
zówką dla innych.

Cel główny p. Łuckiego jest ten, aby na swo-
jej gospodarce uprawiać nietylko z wszelką znajomo-
ścią produkcyę nasion, roślin wszelkich, krzewów
i drzew, ale aby nie narażać nabywców na wątpliwe
i kosztowne doświadczenia, przez sprowadzanie nasion
i roślin z zagranicy, z innych stref klimatycznych,
aniżeli nasze.

Taka stacya doświadczalna na wielką stop
uchroni naszą gospodarkę rolną i ogrodnictwo od wie-
lu strat. Jeżeli zaś zechcemy rozważyć, że wydatki
na utrzymanie kosztownego składu nasion, jakie p. Ł.
miał we Lwowie, znacznie zostaną obniżone, to i ce-
ny będą dla nabywców daleko przystępniejsze.

Jak się dowiadujemy, p. Łucki ma zamiar otwo-
rzyć w Mełnie rodzaj prywatnej praktycznej szkoły,
w której corocznie kilku młodych ludzi kształcić się
będzie mogło wyłącznie w hodowaniu nasion i wszyst-
kiego, co Mełna produkować będzie.

Z przyjemnością możemy donieść i to, że p.
Łucki jako obywatel ziemski jest prawdziwym opie-
kunem i dobrodziejem ludu, u którego zyskuje coraz
większe zaufanie. Mełna jest już dziś pierwszą sta-
cyą przemysłowo-rolniczą, jakiej kraj dotąd nie po-
siadał, to też z całego serca życzymy p. Łuckiemu —
Szczęść Boże.

**Fałszerstwo artykułów spożywczych a szcze-
gólnie wszelkich trunków** praktykuje się, od dawna we
Lwowie na wielką stopę i pomimo częstych rewizyj ze strony
komisaryatu targowego i chemika magistratu, wytaczanych
procesów karnych i kar, nieuczciwi fałszerze nie wiele sobie
z tego robili, a magistrat nie uważał za właściwe publi
kowania nazwiska fałszerze i fałszerstwa. Dopiero teraz są
w możności dzienniki lwowskie podać do wiadomości pu-
blicznej, że magistrat skazał szynkarza i restauratora Jütte
Pilpel za zaprawianie rumu tabaką. na grzywnę w kwocie
80 złr. i zwrot kosztów analizy: Kormana, szynkarza na
placu Strzeleckim za takie same fałszerstwo w kwocie 100
złr.; Kurzweila szynkarza (ulica Zamarstynowska liczba 3)
również na karę pieniężną za falszowanie likierów.

Wiadomo nam jednakowoż bardzo dobrze, że nie-
tylko szynkarze trudnią się fałszerstwem wszelkich trun-
ków, ale i w wielu sklepach korzennych i wiktuałów, za-
bierane bywają najrozmaitszego gatunku artykuły spożyw-
cze, a fałszowane na największą szkodę zdrowia ludzkiego.
Ciekawą rzeczą, dlaczego dotąd magistrat nie podaje do
publicznych pism nazwisk niesumiennych fałszerzy, za co
i jak zostali ukarani. Jestto jedyny śródek do zapobieże-
nia takiemu zbrodniczemu fałszerstwu i obowiązek ostrze-
gania publiczności, aby u tego rodzaju niesumiennych firm
nie kupowała.

We Francyi, a więc niezawodnie w kraju postępo-
wym, jest taki zwyczaj, że jeżeli np. władza magistratual-
na znajdzie w mleczarni lub w składzie artykułów spo-
żywczych coś fałszowanego, wytacza przestępcy proces,
ten płaci co najmniej 500 franków kary, a w dodatku wy-
rok drukowany na koszt skazanego przylepia się na mu-
rach w odnośnej części miasta, a szczególniej na drzwiach
sklepu lub składu uwidoczniony jest przez 3 miesiące. Na-
stępstwem takiego ogłoszenia jest ruina fałszerza, ale jestto
jedyny środek aby fałszerstwu zapobiedz.

U nas niestety pomimo licznych i świetnych uchwał
magistratu, nie wiele się dotąd robi w tym kierunku
wyzyskiwania publiczności. — I tak: bezczelność
piekarzy, przechodząca wszelkie granice i monopol
nałożony na wszelkiego rodzaju pieczywo, jest pra-
wie unikatem dowolności piekarzy. Bułka we Lwowie
gdy korzec pszenicy kosztuje 6—7 złr. jest tak małą, a
bodaj czy nie mniejszą, jak wtenczas, gdy korzec koszto-
wał 10—15 złr. Magistrat zwołał expertów, a ci orzekli,
że pieczywo nie może być większe ani tańsze, a to z po-
wodu, że gdy dawniej młyny amerykańskie mełły 4gatun-
ki mąki, dziś podług „systemu węgierskiego“ produ-
kują z takiego samego ziarna 12 gatunków mąki. Jestto
tak ciekawe w swoim rodzaju objaśnienie, i powód do dro-
gości pieczywa, jakie się zapewne dotąd w Europie nie
praktykowało, bo nie drogość ziarna stanowi o cenie, ale
sposób mielenia. Jestto zaiste cynizm, godny wyzyskiwa-
czy. Pytamy się tych panów, jakież wtenczas pieczywo bę-
dzie, jeżeli cena pszenicy podskoczy na 10—12 złr. Wten-
czas bułka tak samo jak jaki inny cenny specyał nie bę-
dzie przystępną dla biedaka.

Jak słyszymy, magistrat ma rozpocząć jakieś nowe
dochodzenia; w którym jednakowoż roku takowe przyjdą
do skutku i czy znowu tak jak sprawa krawiecka z Izby
handlowej nie odesłane będą na nowo do jakiej komisyi,
nie wiemy. — Gdyby jednakowoż tak się stać miało,
temubyśmy się zupełnie nie dziwili; bo cóż to kogo może
obchodzić, że stolica kraju wyzyskiwaną jest przez klikę
młynarsko- piekarską i że się pp. młynarzom podo-
bało produkować 12 gatunków mąki naraz. Dziwna rzecz;
w tych dniach przyniesiono nam do Redakcyi próby bu-
łek z Kołomyi, Stanisławowa, z Jarosławia i Przemyśla.
Jakość tychże okazała się daleko świetlejsza i delikatniej-
sza od pieczywa lwowskiego, a co do wagi przewyższa nasze o
połowę. Nie wiemy, jak sobie radzi np. p. Czyński w Ja-
rosławiu i Przemyślu, lub piekarze w Kołomyi i Stanisła-
wowie, że wagą i jakością mogą imponować Lwowu. Być
może, że to stąd pochodzi, iż jako na partykularzach są
tak zacofani, że nie mają pojęcia o dwunastu gatunkach
mąki z jednego ziarna i nie nauczyli się jeszcze praktyk
piekarzy lwowskich.

Zdrowy rozum górą. W środę zwołaną została
korporacya krawiecka na zgromadzenie do sali ratuszowej.
Przybyło blisko 100 krawców, przeważnie żydów. Po za-
gajeniu zgromadzenia przez zastępcę przełożonego korpora-
cyi p. Bogdalskiego, w obecności komisarza rządowego p.
radcy Łyszkowskiego, pokazało się, że jeden z handlarzy
Mendel Einfeld ułożył petycyę wrzekomo od krawców,
którzy uważają za zgubę wprowadzenie nowej ustawy prze-
mysłowej i zabronienie handlarzom przyjmowania robót
krawieckich. Podpisy na tę petycyę wymuszał od biedaków
zawisłych od niego, krawców, pod groźbą pozbawienia ich
pracy. P. Niemczynowski postawił wniosek do rezolucyi,
iż dla zasłonięcia biednych rzemieślników bez różnicy wy-
znania, korporacya uważa za obowiązek starać się o zape-
wnienie im pracy.

Majster krawiecki Ehrlich postawił wniosek drugi:
„Korporacya krawców lwowskich u-
chwala zasadę, iż ani kupcom sukna i su-
kien, ani tandeciarzom, ani ich faktorom
nie ma być wolno przyjmować zamówienia
na sporządzanie ubiorów, przeróbek i na-
prawek“.

Wniosek ten poparli Bilbel, Katz Naftuła i
Scheer. Uchwałę przyjęto jednogłośnie, a wyjaśnia ona
prawde, jaką handlarze i tandeciarze usiłowali zaprzeczyć,
za pomocą sfałszowanej i wymuszonej petycyi do Izby han-
dlowo przemysłowej.

Cóż na to powiedzą pp. Gubrynowicz, Dymet, Jakób
Piepes, Rucker, Fried, Baczewski, którzy tak gorąco sta-
wali w obronie handlarzy i tandeciarzy?

Korporacya krawiecka poszła dalej, gdyż na wniosek
p. Bilbla uchwaliło zgromadzenie zawiązać spółkę maga-
zynową, która będzie dostarczać wszelkich materyałów i
potrzeb krawcom, a tem samem wyzwoli ich od handlarzy
i wyzyskiwania. Użyty będzie na to fundusz żelazny kor-
poracyi, a komisya wybrana z siedmiu członków w porozu-
mieniu z wydziałem korporacyi ułoży plan i statut.

Do komisyi tej wybrano samych żydów praktycznych
i umiejących rachować w takich razach. Oto mamy dowód,
że jeżeli żydzi dążą do obywatelskiego żywota i umieją
stawić czoło powszechnym wyzyskiwaczom, to i chrześcija-
nie umią takie postępowanie ocenić! Jeżeli rękodzielnicy
mojżeszowego wyznania pójdą ręka w rękę z rękodzielni-
kami chrześcijańskimi, to nie można ani chwili wątpić, że
zmiejszy się nędza pierwszych, i będzie położona tama nie-
cnemu wyzyskiwaniu. Przy solidarnem postępowaniu mo-
gą znacznie zmiejszyć tandetę wiedeńską we Lwowie, pro-
dukując sami tanie ubrania. Objaw ten uważamy za bar-
dzo pocieszający.

W końcu posiedzenia uchwalili krawcy izraelici po-
dziękować tym członkom izby handlowo-przemysłowej, któ-
rzy ich tak gorąco brali w obronę przeciw dalszemu wy-
zyskiwaniu, a mianowicie wśród grzmotu oklasków wygło-
szono uznanie i wdzięczność pp. Juliuszowi Mikolaszowi,
Wiktorowi Swisterskiemu, Michałowi Walichiewiczowi i
Michałowi Michalskiemu, oraz z jak niekłamaną wdzię-
cznością dziękowali p. Niemczynowskiemu, który bez ró-
żnicy wyznania broni uciśnionych.

Wysiłki naszych rękodzielników. Koło pol-
skie w Wiedniu, mając do czynienia z licznemi petycyami
o decentralizacyę dostaw do c. k. Armii, przewlokło jak
wiadomo, ich załatwienie aż do chwili rozpoczęcia sesyi
delegacyjnej, dokąd sprawa ta z natury swej należy, i do-
piero po zagajeniu delegacyj uwiadomiło strony intereso-
wane, że petycye te należy inaczej ustylizować i wnosić do
delegacyi, obiecując, że je poprą polscy członkowie tychże.

W poniedziałek po otrzymaniu autentycznej wiado-
mości o takiem załatwieniu tych nagłych petycyj, wyrazi-
liśmy zdanie, iż tym sposobem zaprzepaszcza się sprawa,
bo rękodzielnikom naszym, z powodu krótkości czasu,
niepodobna układać nowe pisma, zaopatrywać je podpisa-
mi i podawać.

Wyprobowanej jednak czujności i dbałości posła m.
Lwowa dra Lewakowskiego zawdzięczają interesowani, że
skutki odwłoki mogą być jeszcze sparaliżowane.

Zajął on się sam bezzwłocznie stosownym układem
petycyj, i przesłał je do Izby rękodzielniczej we Lwowie
Ta zaś postarała się natychmiast o podpisy, i podanie za-
opatrzone przeszło 600 podpisami lwowskich przemysłow-
ców odeszło do Wiednia jeszcze onegdaj.

Równocześnie wezwano korporacye w kraju do jak najprędszego wysyłania analegicznych petycyj.

Adresować je należy na ręce posła Chrzanowskiego.

Rękodzielnicy galicyjscy uczynili ze swej strony wszystko, co mogli, i składają losy dalsze swej sprawy do rąk pp. delegatów. Będzie to trudna przeprawa z zakorzenionym systemem centralizacyjnym, który uwzględnia jedynie konsorcya kapitalistów, nazywających się szumnie „Gross Industrie“.

Ale początek zrobiony. Wytrwałość złamie system, byle tylko owo przyrzeczone popieranie nie miało zwyczajnej cechy naszych zachodów, cechy mazgajstwa. Na dobrą sprawę bowiem po poruszeniu tej sprawy ze strony interesowanej, delegaci nasi powinni wystąpić od siebie ze sformułowanymi wnioskami w komisyi budżetowej, a nie poprzestawać na mdłem patronizowaniu podań.

(*Kurjer lwowski*).

Donoszą nam ze Słobody rungurskiej, że tamże ukończył inżynier Leniecki dla p. Edwarda Torosiewicza otwór wiertniczy sposobem kanadyjskim, który wydaje dziennie 100 beczek nafty.

Od dnia 22. b. m. taki sam wynik u p. Szczepanowskiego i Spółki w Szybie „Benigna“. Z otworu wiertniczego tryskała nafta na wysokość wieży, zbudowanej nad otworem, a więc blisko 60 stóp wysokości. Szyb ten daje także 100 beczek dziennie.

Nadużycie. Gremium lwowskich litografów wniosło zażalenie do władz krajowych, z urzędu swego przemysłem krajowym opiekować się mających, przeciwko p. Józefowi Stefańskiemu c. k. komisarzowi powiatowej Dyrekcyi Skarbu we Lwowie o usunięcie tegoż od zarobkowania w zawodzie litograficznym, a to na podstawie motywów następujących:

1. Że c. k. komisarz p. Stefański, pobierający od c. k. rządu płacy przeszło 2.000 złr. rocznie, a nadto posiadający dom czynszowy z żywym inwentarzem, nie powinien stawać w szeregu niedotowanych i niezamożnych rzemieślników litograficznych i przeszkadzać im w zarobkowaniu fuszerowaniem.

2. Że jako urzędnik etatowy, przywiązany do biura, nie ma czasu rzemiosła tak wykonywać, by iść z postępem, gdyż przychodząc dorywczo w rozmaitych godzinach do zakładu litograficznego, nie może oddać się zupełnie temu zawodowi, w skutku czego fuszeruje i szkodzi zakładom krajowym; a co ważniejsze, że bez wyraźnej szkody dla swego urzędu, który piastuje, nie może się swobodnie poświęcić obowiązkom swego urzędowania, co się sprzeciwia ustawom państwowym w ogóle, a w szczególności §. 4. ustawy przemysłowej z r. 1883.

Taka fuszerka niedozwolona, jak poucza drukowane ogłoszenie tutejszego antykwarza Bodeka, z jednej strony ośmiela chorujących na uniwersalność naszych braci mojżeszowego wyznania do jeszcze większej fuszerki, a z drugiej strony niezodowolona Publiczność w przypuszczeniu, że i reszta tutejszych zakładów litograficznych obsadzoną jest c. k. urzędnikami — wysuwa się za granicę szukać smaku — a tym sposobem i ta reszta grosza krajowego, którąby słusznie w kraju pozostać powinna, idzie bezpowrotnie za granicę, przez co tutejsze zakłady litograficzne bez względu na swe urządzenia kosztowne, z dniem każdym marnieją.

Czyż nie dosyć tego, że wszystkie urzędy tak autonomiczne jak i rządowe pozaprowadzały u siebie zakłady litograficzne (eigene Regie) i że tam funkcyonaryusze prywatne roboty wykonują, potrzeba jeszcze, ażeby i c. k. komisarz powiatowej Dyrekcyi Skarbu p. Józef Stefański nieprawnie zarobkował, podrywał szupłe i tak dochody fachowych litografów, i ażeby fachowcy prowadzili swoją egzystencyę przez dokładanie z kapitału zakładowego.

Zakład litograficzny pod firmą „Stauropigiańską“ dzierżawiony nielegalnie od lat wielu przez c. k. komisarza p. J. Stefańskiegó mógłby dla dobra ogółu jaki fachowy litograf zadzierżawić, i temubyśmy z chęcią przyklasnęli, lecz przeciwko dalszemu prowadzeniu tegoż przez p. Stefańskiego protestować nie przestaniemy, tem więcej, że p. Stefański na liczne dochodzenia fałszywie zaprzeczał, jakoby się trudnił litografią dla zarobkowania, czem Władze przem. w błąd wprowadzał.

Jeżeli zaś c. k. komisarz powiatowej Dyrekcyi Skarbu p. Józef Stefański tak dalece umiłował (o czem zresztą wątpimy) zawód litograficzny, że bez niego obejść się nie może, to wzywamy go, ażeby złożył urzędową godność jaką piastuje, gdyż to sprzeciwia się „decorum“ urzędniczemu przyjmować: uczyć, oddalać, wyzwalać terminatorów i nazywać się „Majstrem“ całkiem nielegalnie, czego nawet i dawna Ustawa wzbraniała; a zresztą „dwom panom służyć nie można“.

Jeżeli pokątne pisarstwo piętnowane jest „plagą kraju“ które tylko dla „chleba powszedniego“ istnieje i zwalczyć się nie da, toć powyższa plaga nasza, która po wszystkich handlach powystawiała bilety etc. podpisując na wyrobach litograficznych firmy handlów: „z litografii A. Kozłowskiego, Seyfartha et Dydyńskiego, E. Hawranka, A. Jonasa, Menkesa etc. etc., a jednak o chleb powszedni nie potrzebująca się troszczyć, powinna być zwalczoną, inaczej Ustawa przemysłowa zostanie czczą ironią.

Podpisano:

Gremium lwowskich litografów.

Z Lublina otrzymała „Chwila“ list następujący:

W jednym z ostatnich numerów „Chwili“ znajduje się krótka wiadomość o hodowli królików za granicą. Otóż dla wiadomości czytelników winienem nadmienić, że w Lublinie również prowadzoną jest na wielką skalę hodowla królików przez p. Skierkowskiego, który na tegorocznej wystawie nagrodzony został medalem za przedstawione okazy. Królikarnia p. S. posiada przeszło 6.000 sztuk królików rasy angerskiej i leporidów. Hodowla taka prowadzoną jest przez p. Skierkowskiego umiejętnie i dla tego osiąga on z niej niezłe dochody. Króliki na mięso odstawia on stale do Berlina, a oprócz tego rasa angorska dostarcza puch, który w handlu jest bardzo drogi.

Z tego okazuje się, że wszelka gałęź produkcyi, umiejętnie prowadzona, jest w stanie zapewnić producentom dochody, a hodowla królików w naszym kraju, gdyby była więcej rozpowszechnioną, oddała by ludności miejscowe nie małe usługi, dostarczając taniego mięsa i stała by się konkurencyą z rzeźnikami miejskiemi, wyzyskującymi dowolnie nakładanemi cenami ludność miast i miasteczek naszych.

Najnowsze wiadomości.

Epilog wyborów uzupełniających do Sejmu.

Bywają chwile tak dramatyczne w życiu człowieka, że dusza staje w kolizyi z uczuciami, czy aby ulżyć bólowi należy się roześmiać, ale śmiechem co aż zgrozą i dreszczem przejmuje, czy też zapłakać gorzkiemi łzami. Może powiesz szan. czytelniku, że taki wstęp do tytułu wyżej zaznaczonego, jest może za tragiczny, a bodaj czy nie śmieszny. Kto inny pisząc, zamieniłby myśli swe w humorystyczny szmermel, gdyż to najmodniejszy sposób traktowania nawet najbardziej tragicznych epizodów społecznych i narodowych. Jeżeli szatani się śmieją i przyklaskują nam, dlaczegożbyśmy i my nie mieli się pośmiać troszkę? Nasza cywilizacya i usposobienie zupełnie nas do tego uprawniają.

Nie tu dzisiaj miejsce mówić o wyborach do Rady państwa i do Sejmu, w jaki sposób się odbywały i jak wypadły. Nikt jednak nie śnił o tem, aby wybory uzupełniające dosięgły takiego szczytu cynizmu i rzuciły rękawicą w twarz wszelkiemu szlachetniejszemu poczuciu obywatelskiemu. A jednak niestety tak się stało!

Aby przedstawić całość tego obrazu, zacznijmy od zachodu kraju, od Krakowa.

W stolicy podwawelskiej stronnictwo t. zw. „Stańczyków” postanowiło przygotować zwycięztwo swemu kandydatowi dr. Michałowi Bobrzyńskiemu. Temu się jednakowoż nie dziwimy, bo będąc na miejscu tego stronnictwa, tak samobyśmy uczynili. Czemu nie miało próbować szczęścia. Kandydatem drugim był wysoce zacny obywatel Stanisław Żeleński. Kto zwycięży, były zdania podzielone. Wtem występuje na zebraniu przedwyborczem — kto? — Oto obywatel młody, uzdolniony i pełen sił żywotnych, na którego lat kilka wstecz cały żywioł demokratyczny patrzał jak na przyszłego swego szermierza, a ten nie szczędził ani słów ani czynów, aby dowieść współobywatelom po duchu, że się na nim nie zawiodą. Gdy jednak po raz pierwszy wystąpił na arenę publiczną, kandydując o krzesło poselskie, poszedł, wyspowiadał się i oddał pokłon głęboki tym, na których co tylko zgrzytał zębami i był ich przeciwnikiem.

Jeżeli jednakowoż Stańczycy kogoś przyjmują do swych szeregów, ten musi się przedewszystkiem oczyścić ze wszystkich śmiertelnych grzechów. Aspirant do czapki z dzwonkami poczuwał się do takiego grzechu, bo coś tak dwa lata wstecz podpisał wraz z ś. p. Alfredem Młockim, Mieczysławem Darowskim, Aleksandrem Krukowieckim i gronem posłów na Sejm krajowy odezwę, polecającą do poparcia *Strażnicę polską*. P. Władysław Struszkiewicz wyrzekł się publicznie w *Czasie* tego poparcia, tak samo, jakby się wyrzekł czarta. Otrzymał absolucyę i popierany był skutecznie przez stronnictwo Stańczyków do Sejmu. Przed przyjaciółmi tłumaczył się, że jest i pozostał tym samym kim był, ale tak mu nakazuje postępować wyższy zmysł polityczny. Nie będziemy tu pisać kroniki, z jakiemi się hasłami łączył, rozpoczynając karyerę polityczną i osobistą i dążąc do niej z odwagą zadziwiającą wszystkich.

Na zgromadzeniu przedwyborczem, o którem mówimy, postanowił p. Struszkiewicz zrzucić ostatecznie maskę i jako szlachcic demokrata użyć całej potęgi swego słowa, na poparcie p. Bobrzyńskiego; a swada jego była tak znakomita, że odniosła zwycięstwo i oddała wielką usługę stronnictwu Stańczyków. W ścisłem znaczeniu był to rodzaj doktoratu, czyli mowy habilitacyjnej, po której otwiera się droga do realniejszych zwycięstw i zdobyczy, które się łączą ze stanowiskami tego rodzaju mężów stanu. A gdy, jak vox populi niesie ma być: „faul im Staate Niewiarów,“ — to przyznać należy, że p. Struszkiewicz umie sobie radzić i może być spokojnym o swoją przyszłość.

P. Bobrzyński otrzymał 73 głosy, a p. St. Żeleński dwa. Brawo, brawissimo! panowie demokraci krakowscy z większych posiadłości!

Znacznie dalej poszła Izba handlowa krakowska, ta sama, która niedawno do Rady państwa miała na tyle cywilnej odwagi, że wybrała p. Dra Arnolda Rappaporta. Nazwisko to zanadto już niestety znane w kraju, abyśmy mieli cośkolwiek jeszcze o niem pisać. P. Rappaport mając daleko realniejsze interesa, aniżeli „poświęcanie się“ dla kraju, złożył mandat, motywując krótko, że nie ma czasu reprezentowania Izby handlowej w Wiedniu. Ale p. Rappaport został kawalerem legii honorowej, a to niezwykły zaszczyt dla jego przyjaciół politycznych. Nie pytając go, postanowili nietylko powtórnie go wybrać, ale tyle razy, ile mu się będzie podobało odrzucić mandat.

Napróżno zabierał głos członek Izby handlowej z Gorlic p. Wojciech Biechoński, przedstawiając nietylko brak wszelkiej loiki, ale krzywdę (a raczej obelgę sromotną), jaką się tym wyborem i w takich warunkach czyni krajowi. — Klika fruktyfikatorów finansowych zwyciężyła; a nie będzie to już niespodzianką, jeżeli p. Dr. Arnold Rappaport, kawaler krzyża legii honorowej (biedna rzeczpospolita francuska; na jakich to piersiach dzisiaj błyszczą te oznaki honoru, które się tylko zdobywało krwią i bohaterstwem) powtórnie rzuci Izbie handlowej mandat pod nogi. Zaiste, śmiałość członków Izby handlowej krakowskiej była wielka, ale dzięki jej i za to, bo kraj ją poznał na wskróś i będzie ją umiał na przyszłość dostatecznie ocenić.

Cóż się tu dziwić Izbie handl. w Brodach, jeżeli ta mając taki świetny przykład, wybrała p. Filipa Zukra do sejmu, a żydzi brodzcy orzekli, że to warunek, pod którym może być wybrany pan Otton Hausner. Oto nowe, cenne doświadczenie dla nas, jak dalej postępować.

Koroną jednak tych całych uzupełniających wyborów jest klika sanockiej szlachty, która postanowiła raz na zawsze zerwać z wszelką uczciwą opinią nietylko kraju, ale całego narodu, i zadokumentować stanowczo nową erę moralności szlacheckiej, aby narzucić krajowi na reprezentanta p. Zygmunta **Kozłowskiego**. Zaiste, aczkolwiek czasy i ruch nasz polityczny zupełnie się zmieniły od czasu pierwszego rozbioru Polski, to klika tej szlachty, która tak zawzięcie bojowała za Kozłowskim, może śmiało zapisać swe nazwiska obok takich „Targowiczan“ przynajmniej, jakim był Suchorzewski i jemu podobni. Nic nie pomogły takie kandydatury, wychodzące z zacnych, szlachetnych i nieposzlakowanych rodów sanockiej ziemi, jak pp. Józef Wiktor i Urbański, mężowie czyści jak łza, gorącego patryotyzmu i poczucia obywatelskiego. Pomimo, że silny zastęp obywateli stanął obok nich, klika użyła takich argumentów, że zwycięstwo odniósł jej Zygmunt Kozłowski. My powiemy: że wart pałac Paca, a Pac pałaca. To wrzekome zwycięstwo nie jest wynikiem jakiejkolwiek idei i zasad, ale po prostu kilku menerów, którzy w życiu swem niejednokrotnie dowiedli, że tam gdzie chodzi o ich osobisty interes nie wstrzymują się od żadnego kroku. — Dziś byli tylko narzędziem innej, świecącej tytułami kliki, która postanowiła już bez żenady zapanować wpływami swymi w całym kraju. Kto pamięta w jakich warunkach i w jaki sposób opuścił p. Zygmnnt Kozłowski salę sejmową, temu nie potrzeba objaśniać, dlaczego klika postanowiła go tam na nowo wprowadzić. Oprócz cynizmu, fakt ten świeci jeszcze wstrętniejszą brutalnością. Daj Boże, aby ogół kraju przejrzał, w jakie to ręce dostają się jego losy, i czego się ma spodziewać od tych, dla których nie ma innej przyszłości i dążeń, oprócz ich własnych.

Dokąd klika dąży, i jak pojmuje moralność narodową, daje ilustracyę uzupełniający wybór z większych posiadłości w Stanisławowie. Oto w Wydziale krajowym otwarte jest stanowisko po ś. p. Walerjanie Podlewskim, a więc nowa sposobność dla kliki posadzenia na tem miejscu swego klienta. Urbi et orbi wiadomo, że na to miejsce wybrały dwie partye jednej kliki dwóch kandydatów: Hr. Scipio del Campo — i p. Matkowskiego. Naturalnie, że takich swych członków i wiernych sług, którzy znajdują się w przededniu zupełnego krachu realnego, którzy są tylko tytularnymi właścicielami dóbr, lub takowe co do centa roztrwonili w pożałowania godny sposób, tym się należy pierwszeństwo przed wszelką inną zasługą obywatelską. Jeden i drugi kandydat ma poza sobą silne, szerokie plecy, które go w każdym razie uchronią, aby nie potrzebował szukać przytułku chociażby w zakładzie dla sierot i starców w Drohowyżu. A że parentela familijna p. Matkowskiego

ma wpływy i znaczenie, postanowiła kandydaturę jego postawić w Stanisławowie.

Tym razem się jednak przeliczyła, gdyż widocznie na Pokuciu jest większy procent obywateli, którzy się liczą z sumieniem, aniżeli w ziemi sanockiej. P. Matkowski upadł, a wybrany został p. Stanisław Brykczyński, marszałek Rady pow., jeden z najzacniejszych obywateli. Nie zgodzilibyśmy się może zawsze na poglądy polityczne p. Brykczyńskiego, ale posiada on wielką zaletę: jest niestrudzonym pracownikiem dla prawdziwego dobra kraju i ma — czyste ręce! — Dlategoteż wybór jego witamy z prawdziwą radością.

Walka wyborcza z miasta Stanisławowa została nierostrzygniętą, i stanowi prawie niebywały wypadek w kraju. Kandydatury zgłosili: Dr. Ignacy Kamiński, Dr. Alfred Zgórski, Zathey i Szydłowski, gdy niespodzianie jak deus ex machina pokazał się Hersz Halpern, który oprócz tego, że ma dużo pieniędzy i co tylko zrzucił jupicę, nie władając nawet językiem polskim dostateczenie, nabrał odwagi do kandydowania, wobec zwycięstw współwyznawców w Krakowie i Brodach.

Jeżeli może płynąć pod wodę szlachta sanocka i pchać p. Kozłowskiego, dlaczegoż nie mają tego samego uczynić żydzi stanisławowscy, forytując Hersza Halperna.

W pierszym dniu wyborów było rozbicie głosów. Halpern otrzymał 240, Kamiński 220, Zgórski 90 głosów. Dnia 30 Października powtórne głosowanie. Halpern otrzymał 313, Kamiński 271, Zgórski 90. A więc znowu brak absolutnej większości.

Dnia 31. Października winno się było odbyć ściślejsze głosowanie, ale już tylko pomiędzy Halpernem a Kamińskim. Głosowanie nie przyszło do skutku, bo Kamiński i Halpern wnieśli do komisyi wyborczej na piśmie — że odstępują od swych kandydatur. A więc nastąpi rozpisanie nowych wyborów.

P. Bazyli Nahirny, inżynier-architekt, jeden z główных czynników w zakładaniu składów Narodnej Torhowli po Galicyi wschodniej, który był przed dwoma laty wezwany na członka dyrekcyi, a raczej rady nadzorczej Banku ruskiego (kryłoszańskiego) we Lwowie, obecnie wystąpił z tego Banku, a usunięcie się swoje umotywował w ten sposób: Wstępując do tegoż Banku, uczynił to w tem przekonaniu, że służyć będzie dobrej sprawie narodowości ruskiej. Gdy się jednak niestety przekonał, że operacye tego Banku nie mają nic wspólnego z dobrem Rusinów galicyjskich, że Bankowi nie zależy ani na podniesieniu dobrobytu pomiędzy Rusinami, lecz jest to po prostu towarzystwo, mające na oku wprost przeciwne cele i pracuje w kierunku, w którym żaden prawy Rusin nie może mieć nic wspólnego, — otoż są przyczyny, dla których usuwa się z tego wrzekomego Banku ruskiego i zrywa z tymże wszelkie stosunki.

Narodna Rada. Pod tem hasłem zawiązało się nowe polityczne ruskie stowarzyszenie i wydało już odezwę do Rusinow, wzywając do przystępowania. Założycielem tego towarzystwa są Rusini narodowcy, czyli to stronnictwo, który walczy stanowczo przeciwko wszelkim zachciankom moskalofilskim, a tem samem i przeciw dotychczasowej znanej „Ruskiej Radzie“. Na czele założycieli stanęli: Stefan Kaczała, Iwan Borysikiewicz, Józef Zajączkowski, Mikołaj Siczyński, Piotr Lityński, Aleksander Barwiński, Aleksander Ogonowski, Julian Romańczuk, Bazyli Nahirny, Aleksander Stefanowicz, Iwan Bełej i Dr. Konstanty Lewicki.

W ruchu narodowym ruskim jestto fakt rzeczywiście nader wielkiej doniosłości, gdyż przy rozwinięciu tego nowego sztandaru musi nastąpić stanowczy i wyraźny rozdział pomiędzy prawdziwymi Rusinami, a kacapskiemi zachciankami. Wiemy wprawdzie o tem z góry, że „Narodna Rada“ nie będzie nam również podawała słodkich karmelków, ale będzie walczyła w imię szlachetnej idei narodowej, a tę uszanować należy. Jeżeli zaś i z naszej strony ustanie warcholstwo pojęć, a równouprawnienie narodowe nie będzie czczym frazesem, to rzeczywiście wolno nam będzie marzyć o lepszej przyszłości.

P. Iwan Naumowicz odbył we Lwowie ceremonię przejścia na prawosławie, w prawosławnej tutejszej cerkwi. Aż do tej chwili, uważaliśmy tego „borytela“, którego wielu bardzo mianowało nawet mężem stanu, rzeczywiście za człowieka obdarzonego wyższem wykształceniem umysłowem, które zwykliśmy nazywać „rozumem“. Inna rzecz, jak kto i na co tego rozumu używa. Być może, że p. Naumowicz miał kiedyś swój rozum, lecz zabrnąwszy w otchłań cuchnącego błota, stracił nawet resztki machiawelskiego sprytu. Krok albowiem, jaki uczynił, zmieniając wiarę ojców, otrzeźwił nietylko społeczeństwo ruskie, w którem się zrodził, urósł i żył, ale zrobił go nawet nie możebnym, aby na gruncie galicyjskim służył Moskwie, która mu za to płaciła. Jeżeli zmiana obrządku tak bardzo duszę jego rozgrzewała, to winien to był przynajmniej uczynić przed przejściem na prawosławie Załuskiego i Szpundera. Gdy się jednak przekonał, że przykład ten pozostał zupełnie bez naśladownictwa, gdy kilka innych wykolejonych indywiduów nie można brać w rachubę, to obecne przejście na prawosławie, gdy mu wzbroniony był na arenę chwały nawet Kijów, czegoż dowodzi? Oto że pan Naumowicz musiał niezawodnie zachorować na rozmiękczenie mózgu, a takich ludzi, jako chorych umysłowo, wykreśla się z listy czynników jakiegokolwiek politycznego lub wyznaniowego ruchu.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor J. N. z Oleksowa Gniewosz. Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.